

K.B.
10
L.W.
50271

Odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok I.

Łódź, 30 marca 1958 r.

Cena 1 zł

nr

5



Ładne zdjęcie zawsze można obejrzyć dwa razy. (Patrz strona 12).

W bieżącym numerze:
AMOR WYGNANY • OWOCE MIŁOŚCI • KTO UWOLNIŁ MUSSOLINIEGO? • TRAGEDIE RADOMSZCZAŃSKIE • MYJCIE USZY • MĘSKIE DECYZJE I KROKODYLE ŁZY • ODGŁOSY WIOSNY • MYDŁO W POEZJI I PROZIE • JA BYŁEM PIERWSZY • UŚMIECH Z DRESZCZYKIEM • KOŁO W CAŁE NIE PIĄTE

Uwaga. Dzisiaj w południe minie godzina dwunasta.



Prosimy uregulować zegarki wg niniejszego wzoru.

Różnica między wschodem a zachodem

Po przeszło 3-letnich studiach uczony peruwiański Ryplera Salerano opublikował dziś wyniki swych wnikliwych analiz na temat różnic między wschodem a zachodem słońca. Podstawową tezę Ryplera Salerano stanowi spostrzeżenie, iż słońce wschodzi na wschodzie i posuwa się ku górze, a zachodzi na zachodzie i — przeciwnie — opada na dół.

Kierunek ruchu słonecznego — z lewej do prawej.

Dokładniejsze omówienie rewelacyjnych badań uczonego znajdują nasi kochani Czytelnicy w dodatku poetyckim naszego poczytnego pisma (czytajcie i prenumerujcie „Odgłosy“!).

Ryplera Salerano kandyduje do nagrody Robra. Dobra!

K. Zdziebko

Jaka będzie pogoda w kwietniu?

Jeśli na świętego Jana
Pada wieczór albo z rana —

Na świętego Izydora
Pada rano lub z wieczora.

(ludowe)

Jeśli na świętego Prota
Jest pogoda albo słońca —

Na świętego Hieronima
Deszcz jest
Albo go ni ma.

(ludowe)



Dalszy ciąg na str. 4

MYJCIE USZY

MARIAN BIELECKI

Ja byłem pierwszy...

Mój mój. Mój dobry znajomy obudził się pewnego dnia i spostrzegł, że nie słyszy: ani nakazów chwili, ani krzyku żony: „podaj, fujaro, pantofle”. Udał się tedy do lekarza — laryngologa, który, zajrzawszy mu w ucho przez odpowiedni lejek, rychło postawił diagnozę: auris bardzo brudnis. Auris pełnis woskowinisz. I zarządził aqua terapeutica czyli przepłukanie wodą. Co się też stało.

Mój znajomy widział tylko wielką końską strzykawkę napełnioną wodą, a potem nie już nie widział. Koniec strzykawki przebił mu bębenek, szaruszył błędnik, a ofiara tych przemysłowych zabiegów, zemdląca.

Lekarz właśnie skończył urzędowanie. Rzekał tedy do pacjenta, żeby poleżał, odpoczął i wrócił do domu. Potem zabrał manetę i tyle go było widać. Nieprzytomnym delikatem zajął się miłośnik sprzątaczków i odwoził go do szpitala. Ucho okazało się nie do uratowania. Tyle tylko, że lekarze zobowiązali się pacjenta przywrócić do zachwianej równowagi błędnika równowagi.

Opowiedziałem tę historię w jakiejś towarzyskiej sytuacji pewnemu wybitnemu łódzkiemu lekarzowi. Zaręczał bardzo ostro: „Też, tego, panie kochany, wypadek każdemu może się zdarzyć. No, peewnie, nieładnie, że lekarz zostawił zemdlonego. Na to trzeba by mu zwrócić uwagę”. I natychmiast mnie jak dywizja pancerna: „A, panie! Opowiadanie takich historii podważa zaufanie do lekarzy, lecznictwa, to szkodnictwo społeczne!!!” Itd. Itd. Poczułem się tak, jak bym to ja popełnił całą historię. Łódź bębenek tudzież miłośnik ochotę dokonać samoprzekucia.

I cóż powiecie przysliłi absolwenci „Naszej Szkoły” — otwieram „Express Ilustrowany” i akurat oczy moje czytają historię o rozpoczynającym się procesie młodego lekarza, który dokonując operacji zaszył w ciele młodej kobiety chustę operacyjną. Kobieta zmarła, lekarz zasiedział na ławie oskarżonych.

Pomyślcie, umarła kobieta, młody człowiek prawdopodobnie powędruje do wiezienia — nieszczęście! A tymczasem Wasz Belfer odczuwa satysfakcję. Paskudna historia! Przeraziłem się na moment sam siebie.

Co się dzieje, stary Belferze? — zadaję sobie pytanie. Czy odczuwasz satysfakcję np. na wieść, że jakiś szofer przejechał na śmierć

człowieka i powędrował do ła? Nie odczuwasz. Doznajesz mniej więcej ludzkich uczuć. Więc jakaż to różnica? Co ci się stało?

Bo właśnie jest różnica — odpowiedział mi mój głos wewnętrzny i wygłosił na ten temat dłuższy monolog.

Na zdrowy rozum zdawać by się mogło, że między lekarzem a szoferem nie ma żadnej różnicy w aspekcie odpowiedzialności za ludzkie życie. Jeden stara się przywrócić człowiekowi zdrowie i przy czynnościach tych zdarza się od czasu do czasu, że usłtęrci lub okaleczy pacjenta, drugi ma zawieźć pasażera zdrowo i cało do celu i też zdarza się, iż pasażer wychodzi z eskapady jako kaleka lub nieboszczyk. Jeden i drugi powoduje wypadek z zasady nieumyślnie, bez zlej woli, w przeciwnym bowiem razie nie jest już ani szoferem ani lekarzem, a mordercą, co nas w tym przypadku nie obchodzi.

czynem szkodliwym społeczeństwu!”

Świątym oburzeniem zleje też każdy lekarz z osobna. Ten sam, który śmiały się, gdyby ktoś rzekł: nie można skazać szofera, bo podważy się zaufanie ludzi do mechanicznych środków komunikacji. Ten sam, który by protestował, gdyby nasze władze wstrzymywały się od ogłaszania „błędów i wypaczeń” posługując się analogiczną argumentacją.

Niewiele jest w naszej historii wyroków skazujących lekarzy i nie złamana też potęga klanu, którego szkodliwość społeczna (Instytucji klanu a nie lekarzy, na Bogala) daleko wybiega poza ramy spraw kryminalnych, obejmując wiele codziennych uchwyleń w pracy.

Wszystko to waz Belfer wyrzucał z siebie, pod wpływem artykułiku w „Expressie” o sądzeniu młodego lekarza, który, nie wiem, może jest winien, a może zgolił nie.

I pod wpływem sprawy mojego znajomego, który słyszał dobrze, a teraz słyszy źle.

Ów mój znajomy nie oddał sprawy do prokuratora. Odradzano mu. Po pierwsze: z góry można powiedzieć, iż pod wpływem zeznań lekarzy są orzeknie, że to sprze: był wadliwy, a lekarz w porządku, po drugie zaś, za pozostawienie go bez opieki Komisji Kontroli Zawodowej udzielił niefortunemu majstrowi od usznych plukanek najwyższej nagany.

Strofuję tedy mego znajomego: trzeba było stracić nogę pod jakąś ciężarówką. Wtedy sprawiedliwość stałoby się zadose.

Skończywszy swą walkę z wiatrakami, mogę, o drodzy Uczniowie, udzielić Wam tylko jednej dobrej rady, będącej zarazem morałem niniejszej opowieści:

Myjcie uszy Belfer



Różnica zaczyna się dopiero potem. Szofer bez wielkiego krzyku, który by towarzyszył sprawie, jest sądzony za nieumyślnie spowodowanie wypadku, w wyniku nieprze strzeżenia przepisów czy jakiegos zbiegu okoliczności. Potem spokojnie idzie do „pudła”. Ale z lekarzem sprawa ma się zgola inaczej. Działa bowiem wielka potęga tzw. solidarności zawodowa. Klan lekarski zaczyna działać. Klan jest oburzony, że „czepiają się” jednego z swoich. Wytacza więc swoje działo, któremu na imię: Monopol na ekspertyzę sądową i szantaż społeczny.

Czy sądzony lekarz zawinił czy nie — o tym w znacznej mierze decydują sami lekarze: świadkowie i biegli sadowi. Zaś świętą zasadą skłóconego skądinąd klanu doktorskiego jest: lekarz nie zeznaje przeciwko lekarzowi. Lekarz lekarzowi oka nie wyko!

Zarazem bije się w dzwonek szantażowy: „wyrok skazujący podważałby autorytet lecznictwa, sprzyjał ciemności, unikaniu szpitala, byłby wtę-



Tak jest, panie generale, jestem wytrzymały na zimno.

JANUSZ GARLICKI

MĘSKIE DECYZJE I KROKODYLE ŁZY

Młody człowiek i dowcipny człowiek w ten sposób — krótko a dosadnie — określił naszą sytuację: — My udajemy, że pracujemy, a resztę wiecie.

Nie można zaprzeczyć, że w tym gorzkim żarcie jest jakiś procent prawdy. Wie przecież każde dziecko u nas: że nie pracujemy dobrze, wydajnie. W Zakładach im. I Maja — które zapewne nie są ani lepsze ani gorsze pod tym względem — zabrakło do wykonania planu wartość-

ciowego w ub. roku około 8 mln. złotych. Sporo, prawda? Sądząc na oko — suma, która piechotą nie chodzi. Ejże, czy rzeczywiście nie chodzi? Myślę, że dla niektórych taka suma to po prostu frazka. Bo postuchajcie: straty wyniku wyłącznie z nieusprawiedliwionej absencji wyniosły w tym zakładzie ubiegłego roku ponad 12 milionów złotych. Rezultat? Ano ten, że załoga nie wypracowała funduszu zakładowego.

Powiadamy: załoga. Ale przecież składa się ona z 1600 takich robotnic i robotników, którzy w ciągu roku nie opuścili ani jednego dnia pracy. W jej skład wchodzi także tegie obiboki, którzy w ciągu tegoż okresu opuścili po 80—90 dni.

Poprzestając choćby na tym

tylko przykładzie, przytoczonym na ostatnim plenum Komitetu Łódzkiego PZPR przez dyrektora Zakładów im. I Maja — Szadkowskiego, możemy z pewnością stwierdzić, że istotnie jest u nas wielu takich, którzy udają, że pracują.

Co z takim zrobić? Wo wspomnianych zakładach postanowiono zwolnić tych, którzy dezorganizują pracę. Moim skromnym zdaniem jest to decyzja ze wszech mlar słuszną. Dlatego zupełnie nie trafia mi do przekonania argumentacja niektórych „obrońców klasy robotniczej”, którzy jeszcze w czasie trwania XI Plenum zaatakowali projekt uchwały. Krzyżeli, że grozi bezrobocie, że nowa polityka mieszkaniowa to co najmniej katastrofa, a w szczególności wprowadzenie kaucji za mieszkania — jest sprzeczne z humanizmem itd.

Te same bowiem Zakłady im. I Maja potrzebują w tej chwili 270 pracowników. Jeśli mimo to podjęto tam decyzję o usunięciu kilkudziesięciu markierianów — to właśnie krok ten jest nadyktowany określoną koniecznością.

Wprawdzie autorom uchwały XI Plenum chodzi przede wszystkim o likwidowanie przerosłów, ale przecież tym, którzy chcą pracować trzeba dać jakąś możliwość skutecznej obrony przed łazkami, szansę stworzenia takiego systemu, w którym opłaca się pracować, a nie opłaca się marnować pracy.

I bodaj główna zasługa XI Plenum na tym polega, że wskazuje zryby takiego systemu. A to przecież podstawowa przesłanka dla stworzenia takiego stanu, w którym do wcię przytoczony na wstępie utraci i to złarno prawdy, jakie zawiera dotąd.

Jeśli zaś chodzi o humanizm, któż nie powołuje się chętnie na to wzniosłe pojęcie Demagodzy także. Myślę, że nadszedł czas odczytania tego pojęcia na nowo. Kiedyś uważaliśmy za doskonałe wcielenie humanizmu praktykę, w której państwo ofiarowało obywatelom mieszkania za darmo. Ale zachodzi konieczność spojrzenia prawdzie w oczy. Kłopoty tego nie uczynił, bo mu nie o prawdę chodziło. Jednak każde rozsądne, gospodarskie po-

decyzje do sprawy musi nawiązać szereg refleksji — dotyczących humanizmu.

Na ostatnim plenum KL jeden z dyskutantów przytoczył kilka ciekawych liczb. Otóż w ciągu najbliższych 10 lat ludność naszego miasta wzrośnie do 800 tysięcy. Jednocześnie około 100 tysięcy izb w starych ruderach „wyjdzie”, z użytku. W tym samym czasie przyniosą wzrost budownictwa — to będziemy mogli mówić o humanizmie, cenniejszym niż wszystkie krokodyle łzy naszych „obrońców”.

A skoro już mowa o kaucji, trudno powstrzymać się od zacytowania wypowiedzi pewnego robotnika w dyskusji na wspomnianym plenum KL. Robotnik ów powiedział mniej więcej tak: „Zarabiam 1 tys. złotych miesięcznie, moja kaucja wyniosłaby więc 2 tysiące złotych. Ale gdybym wiedział, że dostanę mieszkanie, to hym to 2 tysiące już jutro przyniosł”.

Tak to jest z owym humanizmem, proszę „obrońców proletariatu”. Myślę, że w naszych warunkach humanizm polega także na likwidowaniu nieudolności i położeniu w podjęciu do źródła wszelkiego zła. Tak, jak to było na XI Plenum.

pracują nieraz starzy, wykwalifikowani robotnicy, nie osłagając jednak przedwojennej wydajności.

A zatem główne ogniwo, które trzeba chwycić za rogi, polega w naszej sytuacji na właściwej, naukowej organizacji pracy, zarówno w aparacie centralnym, jak w zakładach pracy. Problem sprowadza się także i do właściwych kwalifikacji aparatu kierowniczego.

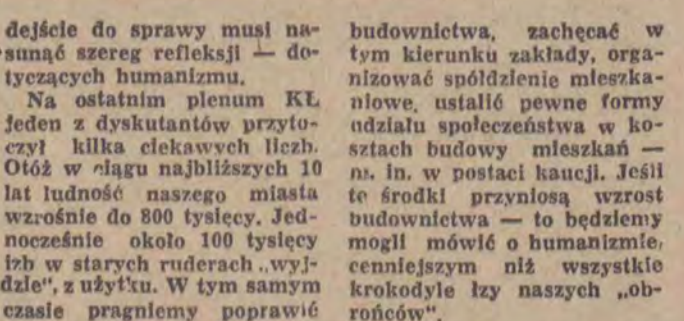
Blisko rok temu zadałem sobie trud przeanalizowania sytuacji kadrowej aparatu kierowniczego w przemyśle włókienniczym w Polsce. Rezultaty tej analizy zostały ogłoszone na łamach łódzkiej „Kroniki”. Wynikało z niej jasno, że 60 procent aparatu kierowniczego w przemyśle włókienniczym nie legitymuje się nawet wykształceniem w zakresie pełnej szkoły podstawowej. Zaledwie ok. 20 procent dyrektorów i naczelnych inżynierów posiada wyższe wykształcenie. Pokażcie mi jeszcze jedno państwo w Europie, w którym istnieje tego rodzaju sytuacja.

Zamiast więc walczyć o zmianę anormalnego stanu rzeczy — Jerzy Putrament wszem wobec ogłasza, że o naszych losach nie powinni decydować także i technicy, ekonomiści, organizatorzy, boć przecie nikt tu nie będzie kwestionował zrozumiałej roli polityków.

No cóż, a jednak historia się powtarza, choć w różnych odstępach czasu. Niezmiennie jednak jesteśmy pełni podziwu dla lino-skokowej zrzeczności Jerzego Putramenta. Oby tak dalej, a z pewnością zasłuży na spłozowy pomnik na Placu Defilad w Warszawie. Osobiście pierwszy stawiam ten wniosek. Pamątajcie, że ja byłem pierwszy...

Dlatego, że np. w Nowej Hucie, na Zeranlu, czy też w przedsiębiorstwach w Piotrkowie, w Zambrowie itd., chociaż zakłady te zostały wyposażone w najbardziej nowoczesne maszyny, to jednak wydajność pracy jest niższa od osiaganej przy tej technice za granicą.

Dlatego, że w wielu zakładach, przy tych samych maszynach, co przed wojną,



Rys. Charles Addams. (Radzimy obejrzeć inne rysunki tego autora, umieszczone na str. 10, w rubryce „Najstrzejsze ółwki świata”)

odgłosy str. 2

AMOR WYGNANY



1



2



3



Próżno ten młodzieniec w okularach (widoczny na zdjęciu po prawej stronie) molestuje portiera w żeńskim Domu Akademickim przy ulicy Bystrzyckiej. Daremnie przysięga, że Ona jest... jego siostrą. Że tata był inny i dlatego nazwisko jest odmienne. Wszystko na nic. Tu łyzy nie pomogą. Portier jest głuchy na wszelkie zaklęcia. Owszem, można miłą wezwać, a jakże. Ale wymarzone spotkanie odbędzie się w świetlicy, na oczach innych par... (a niekiedy naszych fotoreporterów). Bo oto w myśl werdyktu zacnych ciał opiekuńczych i pedagogicznych (czuwających nad zdrowiem moralnym i fizycznym studiującej młodzieży) — pięć brzydka straciła prawo wstępu na teren żeńskich Domów Akademickich. Czyżby ktoś wpadł na trop orgii, wołających o pomstę do nieba?

Niestety. Martwa litera zakazu nie odsłania rąbka tajemnicy. Ani w ogóle niczego, co ze względu na atrakcyjność tematu ciekawiloby zarówno nas, jak i szeroki ogół czytelników. Ale ponieważ mamy właśnie za sobą tydzień wiosny, więc natychmiast przypominam nam się ów fragment z „Nastrojów wiosennych“ Boya, w którym:

„Ptaszek ćwierka gdzieś tam z góry
swoich liryk „pierwszą serię“
zapoznanych serc tortury
i celibatu mizerie — “

Przerywam jednak komentowanie rzeczy, zarówno prozą, jak i wierszem (przy pomocy klasyków). Podaję za to następującą ciekawostkę. Oto w portierni znajduje się pomysłowe urządzenie, pozwalające wezwać każdą spośród mieszkanki Domu. Bo w poszczególnych pokojach są dzwonki, a studentki zostały ponumerowane. Jeden sygnał — to na przykład Małgosia, dwa — Zosia, trzy — Dusia, itd. Jeżeli ktoś przychodzi do Domu Akademickiego dziewcząt (a jest mężczyzną), to przede wszystkim legitymuje się i zostawia portierowi dokumenty. Potem podaje nazwisko wybranej. Wówczas dopiero portier, posilkując się wykazem ustala numer pokoju i ilość dzwonek. I jeżeli chce, to naciska guzik odpowiednią ilość razy. To wszystko opisałem bardzo dokładnie. Przypuszczam bowiem, że ta informacja przyda się niejednemu.

Właśnie w tej chwili, w jednym z pokoi na II piętrze zabrzmiał trzykrotny sygnał dzwonka. Dlaczego jednak dziewczę, stojące po lewej stronie największej fotografii nie udaje się na widzenie? Przecież można bez trudu odczytać z oczu dziewczęcia, że to ono jest „nr 3“.

Może dziewczę przypomniało sobie poprzednie spotkania?

...Świetlica. Znajdują się w niej cztery pary. Ale tylko jedna z nich jest odważna (zdjęcie 1) i nie robi z obecności pozostałych. Za to inne pary są wyraźnie osowiałe (zdjęcie 2), skrepowane (zdjęcie 3), albo przygnębione (zdjęcie 4).

Prawdziwy pedagog—opiekun tym się różni od swojego falsyfiku względnie namiastki, że jak może uprzyjemnia życie zakochanym. Warto jednak zauważyć, że tenże pedagog — opiekun zdaje się patrzeć przez palce na rozrywki poza domowe swojej trzódki. Plakat powieszony na dole (patrz foto) — reklamuje sobotni „jubel“ u plastyków i rekolekcje.



Czy amor został naprawdę wygnany? Chyba nie. Bo od chwili wydania zakazu „wszystkie chwytły są dozwolone“. To nie, że fałszerstwa bywają demaskowane. Bracia przychodzą nadal. A po Domach Akademickich krąży anegdota. Opowiada ona o młodzieńcu, który w żeńskich szatach przekradł się po trzykroć (doład), za każdym razem myląc strażę i uchodząc pogoni.



Uwaga, punkt! Na placyku przed Domem Akademickim studentki ulepiły balwanek. Wolimy iaktownie nie domyślać się, kogo ów balwanek ma wyobrazić.



WSZYSTKIE ZDJEĆIA:
ANDRZEJ KONDRATYUK
I MACIEJ KJOWSKI
KOMENTARZ RZECZPOZNAWCY



4



DO CIEBIE!

ŁAGODNY MONARCHA

Panowanie nowego króla Kougri Kaba w największym piemieniu sudańskim Mossi we Francuskiej Afryce Zachodniej zapowiada się łagodnie i pokojowo. Po uroczystej koronacji w stolicy Anagadougou nowy monarcha wydał pierwszy dekret, w którym postanawia zredukować liczbę wojowników z 8.000 na 6.000 i powiększyć harem z 200 do 400 kobiet.

GENTLEMENIS AGREEMENT

„Blagam pana, niech mi pan da szansę i okaże przychyłność” — w ten sposób zwrócił się właściciel jednego z domów w Garden City (USA) w liście do komendanta miejscowego lotniska wojskowego — „niech pan najbliższej niedzieli przed południem nie pozwala starować odrzutowcom, bowiem oczekuję kuncia, który szuka cichego domku w spokojnej okolicy”.

TEN SIE SPRZEDAJE...

Na licytacji w Paryżu kilka autografów Napoleona, w tym zapiski z Egiptu oraz fragment wspomnień pisanych na wyspie św. Heleny osiągnęło sumę 910.000 franków.

TESTAMENT PICASSA

Pablo Picasso przekazał jednemu ze swoich przyjaciół hiszpańskich testament artystyczny, który może być opublikowany dopiero po śmierci malarza. Twórca „Guernicy” wyraża ponoc w nim m. in. rozczarowanie z tego powodu, że młode pokolenie artystów naśladuje go, zamiast zwalczać i poszukiwać nowych form wyrazu. Już przedtem Picasso wyrażał się podobnie o istniejącej we współczesnym malarstwie niepokojącej stagnacji i standaryzacji.

COŚ DLA „LIGI KOBIET”!

Dyrektor telewizji angielskiej zwolnił niedawno większość epikerek i zastąpił je

mężczyznami. Oświadczył przy tym, iż mężczyźni zachowują na ekranie o wiele więcej ekspresji i że lepiej ich się rozumie. Na to otrzymał mnóstwo listów od kobiet, których sens sprowadzał się mniej więcej do jednego, że „arogancja współczesnych mężczyzn przechodzi wszelkie granice przyzwoitości”.

CZY NOWOCZESNE WIAROŁOMSTWO?

Po gwałtownej dyskusji publicznej nad sprawą sztucznego zapłodnienia rząd angielski postanowił powołać specjalną komisję, która miałaby na celu rozpatrzenie tego zagadnienia. Lord Kanclerz oświadczył w Izbie Lordów, że komisja winna zbadać, czy sztuczne zapłodnienie należy uznać za wiarołomstwo. W ten sposób rząd ustąpił pod naciskiem Kościoła i większej części opinii społecznej, która domagała się prawnego uregulowania tej kwestii.

Arcybiskup Yorku wypowiedział się w Izbie Lordów za tym, aby sztuczne zapłodnienie uznane zostało za dostateczny powód do rozwodu. Natomiast uważał za nierozsądne, aby przed wyłączeniem odpowiedniej ustawy uważał je za karalne, czego żądał arcybiskup Canterbury.

DOWODY RZECZOWE

Sąd angielski udzielił pewnemu mieszkańcowi Petersfield 10 proc. zniżki podatku od nieruchomości, gdyż ten potrafił udowodnić, iż w jego starym, liczącym już 500 lat domu co noc zjawia się i straszy duch. Jego cmentarne jęki brzęk kajdan i grzechotanie kości obniża w znacznym stopniu możliwości odnajmywania lokalu, a więc zmniejsza wydatnie dochodowość domu.

CZY DO NAS DOTRZE?

We Francji panuje swoista mania „uszlachetniania” własnych rodowodów. Chodzi o to, aby się wykazać jak najlepszym pochodzeniem rodzinnym. Nowy rodzaj snobizmu z dnia na dzień zwiększa ilość ofiar heraldycz-

nej głupoty. Instytut Badań Rodziny ogłosił niedawno, iż 263 Francuzów podaje się za potomków Napoleona, a 46 nawet za potomków Dziewicy Orleańskiej.

TRZEBA Z POSTĘPEM...

Papież Pius XII proklamował św. Klarę z Asyżu patronką telewizji. W dekreście papieskim podkreśla się w uzasadnieniu, iż św. Klara w r. 1252 znajdując się na łożu boleści w klasztorze św. Damiana widziała od początku do końca jutrznię odprawianą w klasztorze św. Franciszka z Asyżu.

NIE TRACIŁ CZASU...

Z więzienia Sing-Sing w Now Yorku wyszedł na wolność 53-letni Nathan Leopold, który mając 20 lat został skazany na dożywotnie więzienie za dokonanie wspólnie ze swym przyjacielem morderstwa na 14-letnim chłopcu. Leopold spodziewa się teraz otrzymać posadę nauczyciela języków, gdyż w okresie odsiadki w kary opanował 26 języków.

KŁOPOTY Z SENTENCJAMI

Po raz trzeci zmieniono ostatnio sentencjonalny napis na kracie odrzwi uniwersytetu w Monachium. W poprzednim haśle: „Mortui viventes obligant” („Zmarli zobowiązują żywych”) rektor uniwersytetu dopatrywał się pewnych niedostatków językowych. Wobec tego docent filologii klasycznej dr Pilgersdorffer zaproponował nową sentencję, którą przyjął zarówno rektor, jak i senat uczelni — „Mortuorum virtute tenemur” („Męstwo poległych zobowiązuje nas”). Pierwotnym hasłem było: „Słodko i szczytnie jest umierać za ojczyznę”. Przeciwni temu zaprotestowali ostro studenci.

WIDZIELIŚCIE ICH?

Członkowie niemieckiego domu książęcego Hohenzollernów wystąpili o odszkodowanie ze strony Polski za ich mienie zajęte po wojnie na terytorium Polski, podając jako podstawę prawną, iż są obywatelami angielskimi. Według istniejącej umowy między Polską a W. Brytanią suma na odszkodowanie za mienie obywateli angielskich zajęte przez władze polskie ustalona została na około 6.000.000 funtów. Przyjęta w 1705 roku przez Parlament brytyjski uchwała przyznaje członkom domu Hohenzollernów prawo do obywatelstwa angielskiego. Mimo iż w latach ostatnich prawo to było wielokrotnie ostro atakowane, żyjący Hohenzollernowie podają je jako przesłankę prawną swoich roszczeń. Według angielskiego dziennika „Sunday Dis-

patch” książkę Fryderyk Pruski, wnuk cesarza Wilhelma II żąda okrągłego miliona funtów. Dalsze roszczenia zgłasza księżna Magdalena, wdowa po księciu Hubercie Pruskim oraz członkowie domu książęcego Sasko-Weimarskiego i Sasko-Meiningenskiego.

CICHY FENOMEN W TELEWIZJI DUŃSKIEJ

Występy w telewizji duńskiej 40-letniego motorniczego tramwajów Erika Thorna wywołały ogromne poruszenie. Erik Thorn przez wiele tygodni brał udział w konkursie telewizyjnym na wiadomości z zakresu fizyki jądrowej, wykazał nadzwyczajną wprost wiedzę w tym zakresie i w rezultacie został zwycięzcą konkursu. Znany powszechnie fizyk, prof. Niels Bohr oraz jego najbliżsi współpracownicy zostali wprawieni w zdumienie biegłością duńskiego tramwajarza w tej tak trudnej dziedzinie naukowej i wystąpili wobec niego z propozycją współpracy. Erik Thorn propozycję tę przyjął i jest obecnie asystentem prof. Bohra.



Anegdota z myszką

TYLE ILE TRZEBA

Po premierze „Don Juana” cesarz austriacki kazał przybyć kompozytorowi do swojej łoży i pogratulował mu. Lecz nie rozumiejąc się na muzyce, powiedział m. in. — Panie Mozart, tyle nut pan napisał! Mozart odpowiedział: — Sire, ani jednej nie ma za dużo.

POWAGA KONSTYTUCJI

We wrześniu 1957 r. na koncertach w Ravensburgu pięćdziesięciu młodych ludzi protestowało przeciwko występom pieśniarza „szlagierów” Vico Torriani. Obecnie odbył się ich proces. Sąd dla młodocianych skazał sześciu demonstrantów na 8 marek grzywny każdego, gdyż między innymi rzucali oni bomby z cuchnącymi substancjami. W czasie przewodu wyjaśniło się, że młodzież w ten sposób podjęła rzucenie przez dwóch nauczycieli hasło „protestu przeciwko szmirze”. W motywach wyroku podaje się, że konstytucja zapewnia wolność wypowiedzi w słowie, piśmie i obrazie, ale nie w niej się nie mówi o wypowiedzianiu się za pomocą cuchnących bomb.

Jako okoliczność łagodząca sąd uznał, iż demonstranci występowali ze szlachetnych, idealistycznych pobudek.

W OBRONIE REALIZMU...

Władze NRD nie dopuściły do otwarcia wystawy grafiki niemieckiej XX wieku przygotowanej przez muzeum w Rostocku. Na taką decyzję wpłynął fakt, że do wystawy włączono dzieła impresjonistów i ekspresjonistów.

NEKROLOG

Oskar noszący tytuł księcia Prus, zmarł niedawno w monachijskiej klinice na raka żołądka, przeżywszy lat 70. Był on ostatnim żyjącym jeszcze synem cesarza Wilhelma II. Ciało zmarłego zostało przewiezione z Monachium do Hechingen i pogrzebane w ogrodzie oficerskim zamku Hohenzollernów, obok grobu następcy tronu.

Kancelarz Adenauer przesłał małżonce zmarłego telegraficzne kondolencje.

Z TEATRU „7,15”

Jakie oblicze może mieć teatr? Przede wszystkim oblicze zewnętrzne (nazwa teatru, wygląd sali, rodzaj foteli itp.), potem oblicze ideowe, dalej artystyczne, repertuarowe, plastyczne i nastrojowe. Przypominam



to, bo dawni bywalcy Teatru Satyryków siedzą teraz na tej samej co niegdyś widowni i dziwią się. Albowiem teatr zmienił wszystkie oblicza po kolei... Od nazwy (teraz zwie się Teatrem „7,15”) po przez repertuar (obecnie grana jest sztuka Molnara pt. „Liliom” — patrz fotos) aż po jakość reżyserii. Ostatnie, dzięki aktywności p. Jerzego Antczaka, Radzimy obejrzeć sztukę Milnara. Recenzję z tego spektaklu zamieścimy w najbliższym numerze.

ETL.



(Ciąg dalszy na str. 10)

**Tajniki wywiadów
gabinetów i wydarzeń
XX wieku**

MAREK T. EMER

Pierwsza informacja była tania. Za 100 fałszywych funtów szterlingów sierżant karabinierów (policja włoska) zaprowadził Höttla do swego przełożonego, porucznika policji, który nadzorował Mussoliniego w czasie jego przejściowego pobytu w barakach policyjnych. Do baraków tych przewieziono Mussoliniego zaraz po aresztowaniu, po pamiętnej audjencji u króla w dniu 25 czerwca. Porucznik był już dziesięć razy droższy. Za 1000 fałszywych funtów sprzedajny oficer poinformował Höttla, że z baraków policyjnych Mussolini przejęty został przez oficerów marynarki wojennej. Ta niezmiernie cenna wskazówka pozwalała sądzić, że Mussolini przebywa na pokładzie okrętu wojennego. Należało więc przeprowadzić badania kolejno we wszystkich większych portach Włoch.

FORTEL ARESZTOWANEGO GROEBLA

Dr Gröbl, czołowy agent, sprzedawca fałszywych funtów szterlingów, utrzymywał zażyłe stosunki z władzami portu w Genui. Tam też bezzwłocznie skierował go Höttl. Jednakże od zamachu stanu upłynęło już kilka brzemiennych w zdarzenia dni — faszystowska milicja portowa utraciła w międzyczasie swoje wpływy i znajomości Gröbla stawały się nieprzydatne. Gröbl zdołał zaledwie uzyskać osobiste i prywatne polecenie do poważnego funkcjonariusza zarządu portu w Neapolu. Tu jednak, na samym wstępie, Gröbl został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa. Sytuacja zaczynała się poważnie komplikować, ale Gröbl nie tracił kontensu. Był starym wytrawnym agentem.

Błyskawicznie rozważył wszystkie możliwości wydobycia się z pułapki. Wybrał wariant najbardziej ryzykowny, ale też, jak mniemał, najbardziej skuteczny. Od aresztujących go policjantów zażądał w trybie „specjalnym i szczególnie ważnym” natychmiastowego doprowadzenia go do szefa policji portowej w Neapolu. W gabinecie szefa bez dłuższych wstępów „przynął się”, że jest agentem... Intelligence Service (angielski wywiad wojskowy) i że polecono mu zebranie informacji niezbędnych dla przygotowania zajęcia Neapolu przez aliantów. Na dowód prawdziwości swych słów wyjął dwa pokaźne pakiety funtów szterlingów. Znając również płynnie język angielski posługiwał się nim teraz zamiast włoskim.

Poskutkowało. Komendant policji był tak przerażony, że nie tylko natychmiast uwolnił Gröbla z aresztu, rozplywając się w przeprosinach, lecz zaofiarował się ponadto skontaktować go z ludźmi, którzy mogą mu być pomocni w wykonaniu „zadania”. Oczywiście Gröbl chętnie z tego skorzystał — teraz miał już pewność, że „przy okazji” wykryje miejsce pobytu Mussoliniego!

**„FUEHRER SCEPTYCZNIE
USTOSUNKOWANY”.**

Intuzjizm Włochów dla aliantów nie był jeszcze tak wielki, aby nie można go było podwyższyć za pomocą funtów szterlingów. Toteż Gröbl wydał w Neapolu 20.000 fałszywych funtów i po dwutygodniowej działalności w skórze agenta Intelligence Service wrócił do Rzymu cały i zdrowy za ceną wiadomości: Mussolini ukryty jest na wyspce Santa Maddalena! Uradowany Höttl natychmiast powiadomił o tym depeszą radiową Kaltenbrunnera prosząc równocześnie o dyspozycje do dalszych kroków.

Odpowiedź, która nadeszła następnego dnia, była jednak co najmniej zaskakująca. Kaltenbrunner pisał: „Osobiście wierzę — Führer jednak jest sceptycznie ustosunkowany”. Höttlowi nie pozostało nic innego, jak próbować osobistej interwencji w Berlinie.

Po przybyciu na miejsce Kaltenbrunner przywitał go kwaśnym uśmiechem.

— Pan wie, doktorze, że Führer nie wierzy żadnemu Włochowi. Nawet takiemu, który widział Mussoliniego na własne oczy. Hitler

Skorzenny i fałszywe funty czyli

**KTO PORWAŁ
MUSSOLINIEGO**

(Dokończenie)



żąda, aby pana informacja potwierdzona była przez oficera niemieckiego, który zbada ją osobiście na miejscu.

— Czy tym oficerem ma być może Skorzenny? — zapytał Höttl.

— Tak! — przeciął krótko Kaltenbrunner.

„OPERACJA MARS” I ASTROLOGICZNY WYWIAD HIMMLERA

Nie była to zresztą jedyna niespodzianka, jaka czekała Höttla w Berlinie. Również powątpiewając bowiem do tej informacji ustosunkował się Himmler. Był on przekonany mianowicie, że ustalenie miejsca ukrycia Mussoliniego za pomocą normalnych metod pracy wywiadu jest niemożliwe. Z tego powodu rozwinął osobistą, bardzo specjalną działalność nadając jej kryptonim „Operacja Mars”.

Nastąpiły zdarzenia zakrawające na kpinę dla normalnie myślącego człowieka. Na osobiste polecenie Himmlera ze wszystkich obozów koncentracyjnych wydobyci zostali różni astrologowie, wróżbicy i jasnowidze. Wtrącił ich tam rozkaz Heydricha b. szefa PSHA,

tuż po odlocie do Anglii Rudolfa Hessa, który był przedtem gorącym ich opiekunem. Obecnie Himmler zażądał od owych nieszczęślików, aby odkryli miejsce ukrycia Mussoliniego. Nagrodę stanowiło uwolnienie oraz sto tysięcy marek niemieckich.

Około 40 szarlatanów różnych narodowości umieszczono w wytwornej willi w Wanssee, służącej normalnie jako dom gościnny dla dostojników SS. Piwnice willi zaopatrzone były w doskonałe wina francuskie i wódki holenderskie, a spiżarnie w artykuły żywnościowe, których próżno byłoby szukać w niemieckich sklepach.

Solidnie wyglądali goście Reichsführera SS uznali więc za najlżejsze przed wszystkim najęść i napić się do syta, a potem prześledzić błogi pobyt jak długo się da. W tym celu aranżowali liczne, zawile i bardzo tajemnicze seanse, w których kilkakrotnie uczestniczył sam Himmler.

Höttl z niepokojem obserwował przeciągającą się działalność „astrologicznego wywiadu” Himmlera. Groziła ona tym, że Włosi spokojnie wydadzą Mussoliniego w ręce aliantów — a wykradzenie

stamtąd było już niemożliwe. Postanowił więc działać.

**„NA JEDNEJ Z TYCH WYSP
ZNAJDUJE SIĘ DUCE...”**

18 sierpnia Himmler złożył gościom w Wanssee jeszcze jedną wizytę. Była ona tym razem owocna.

Jeden z szarlatanów, berliński wróżbita przepowiadający za pomocą wahadła, w tajemnicy przed swymi kolegami, zaprosił Himmlera do swego pokoju. Po wielu wstępnych przygotowaniach, które na przesądny Himmlerze wywarły ogromne wrażenie, „mistrz” puścił w ruch wahadło umieszczone nad mapą Włoch. Zatrzymało się ono na moment nad obszarem morza pomiędzy Korsyką i Sycylią, gdzie położona była grupa wysp Bucinari. „Mistrz” pewnym i tajemniczym głosem oznajmił:

— Na jednej z tych wysp znajduje się Duce...

Himmler natychmiast zawiadomił o swym „sukcesie” Kaltenbrunnera. Szef RSHA złożył gratulacje swemu przełożonemu i stwierdził:

— A więc Höttl nie pomylił się, podając wyspę Santa Maddalena jako miejsce ukrycia Mussoliniego... Czy mogę zatem wydać polecenie dalszego działania?

Tym razem Himmler natychmiast udzielił zgody. Nie wiedział tylko, że zasłużony mistrz przed uruchomieniem historycznego wahadła odbył krótką konferencję z zarządzającym willą. Ów zaś był znajomym Höttla. Resztę można sobie dopowiedzieć. Niewielki pakietek fałszywych funtów podzielił solidarnie między sobą „cudowny jasnowidz” i zarządzający willą. Na marginesie warto dodać, że był to początek oszołamiającej wręcz kariery sprytnego szarlatana. Później wielokrotnie „odkrywał” on konwoje alianckie na Atlantyku. Tylko nieliczni wtajemniczeni konstatawali przedziwną zbieżność tych cudotwórczych widzeń z danymi rozpoznania lotniczego...

Sam zaś Höttl dzięki temu mailemu podstępowi zdobył nareszcie upragnioną możliwość samodzielnego działania.

Na drodze do uwolnienia Mussoliniego pozostała jednak jeszcze jedna trudność, którą przewidział Höttl podczas pierwszej rozmowy z Kaltenbrunnerem. Hauptsturmführer Skorzenny otrzymawszy wiadomość o ostatecznym ustaleniu miejsca pobytu Mussoliniego, przystąpił natychmiast do działania na własną rękę.

**NIEFORTUNNY LOT NAD
WYSPĄ MADDALENA**

Wuniformie pilota wykonał na wodnopłatawcu Heinkel III lot roz-

poznawczy nad wyspą Maddalena. Podczas lotu wydarzyła się jednak katastrofa i samolot musiał wodować w pobliżu wyspy. Nie uszło to uwagi oficera włoskiego odpowiedzialnego za bezpieczeństwo cennego więźnia na Maddaleni. Toteż gdy następnego dnia Skorzenny wpadł na czele flotyli ścigaczy do portu wyspki, zastał już gniazdo puste. Płazek wyfrunął...

Wówczas po raz drugi w tej „epopei” pojawił się na arenie dr Gröbl i jego fałszywe funty. Tym razem w stosunkowo krótkim czasie udało mu się ustalić, że Mussolini został ukryty w hotelu sportowym na Campo Immoatore w masywie Gran Sasso. Jedynym połączeniem z hotelem stanowiła silnie strzeżona przez Włochów kolejka linowa.

**DYSKRETNE PRZESYŁKI OD
DR GROEBLA**

Skorzenny uparł się zbadać osobiście szczyt góry, nie dowierzał bowiem włoskim informatorom Gröbla. Pomimo katarycznego sprzeciwu Höttla obawiającego się powtórnej dekonspiracji, dokonał przelotu nad szczytem góry, fotografując zbocza. Z hotelu zauważono oczywiście niemiecki samolot i natychmiast zarządzono alarm powiadamiając równocześnie marszałka Badoglio. Zanim jednak zapadła nowa decyzja, Skorzenny już wystartował na czele silnej eskadry.

Podczas lądowania na pochyłej pod kątem 45 stopni łące tuż pod szczytem rozbiła się znaczna większość maszyn — i gdyby załoga włoska stawiała zdecydowany opór, całą awanturniczą wyprawą zakończyłby się zapewne żenująca kompromitacja.

Ale załoga włoska nie stawiała zdecydowanego oporu... Poprzedniego dnia szereg strażników otrzymało dyskretnie przesyłki od doktora Gröbla. W każdej z nich do kilku pięćdziesięciofuntowych banknotów załączony był krótki liścik z obietnicą większej sumy i prośbą o zachowanie spokoju wobec wydarzeń, jakie mogą nastąpić... Ryzykancki krok Gröbla po raz drugi okazał się skutecznym. Mając świadomość, że Skorzenny i tak zdradził Włochom swoje zamiary, postanowił zagrać va banque!

Po przewiezieniu Mussoliniego do głównej kwatery Hitler dekorował Skorzennego „rycerskim krzyżem żelaznego krzyża” i ogłosił bohaterem „tysiącletniej Rzeszy”.

Z funduszków, jakimi dysponował Gröbl i Höttl ubyło natomiast 50.000 fałszywych funtów szterlingów. Taka była cena za „wielkiego Duce”.

Polityczna młocka

**FRANCO
I JUAN
CARLOS**

Wświetnym dzienniku angielskim „Manchester Guardian” ukazała się ostatnio korespondencja z Hiszpanii. Autor jej stwierdza wzrost nastrojów opozycyjnych wobec reżimu frankistowskiego w liberalnych kołach tego kraju. Nie ma wprawdzie w Hiszpanii zorganizowanej partii opozycyjnej, nie mniej jednak można się dopatrzyć kadr kierowniczych przyszłych stronnictw politycznych i krystalizujących się idei przewodnich tych partii.

Stabiłością nieoficjalnej opozycji jest brak powiązań z masami pracującymi. Wiadomo zaś, że niezadowolone z rządów generała Franco jest wśród ludności Hiszpanii wielkie. Obok braku elementarnych swobód demokratycznych położenie gospodarcze kraju i sytuacja materialna ludności są opłakane.

Według źródeł amerykańskich 83 proc. Hiszpanów partycypuje w niespełna trzeciej części dochodu narodowego. Przeciętny zarobek dzienny robotnika w przeliczeniu na dolary wynosi 1,50, podczas gdy skromne utrzymanie 3-osobowej rodziny kosztuje 2,50 do-

lary dziennie. Gdyby nie pomoc amerykańska, reżim stanąłby w obliczu katastrofy. Strajki robotnicze, m. in. strajk metalowców w Bilbao oraz manifestacje studentów w Barcelonie, Sewilli i Madrycie, przeprowadzone pomimo terroru policyjnego, są dla Franco groźnym ostrzeżeniem.

Nie chcemy jednak naświetlać zagadnienia jednostronnie — co jest dewizą naszej „młocki”. Niezależnie od kłopotów z nastrojami liberalnymi i demokratycznymi ma Franco trudności także z prawicą, na której przeciw opiera istnienie swych rządów. W pierwszym rzędzie chodzi tu o kler katolicki, Falangę i armię. W tych sferach coraz popularniejsze jest hasło restauracji monarchii hiszpańskiej, która przestała istnieć w 1931 roku.

Ostatni król Hiszpanii Alfons XIII zmuszony wówczas do abdykacji zmarł podczas ostatniej wojny na emigracji we Włoszech. Zyje jednak w Estoril w Portugalii prezydent do korony Don Juan, hrabia Barcelony, który ma popleczników wśród arystokracji hiszpańskiej, niegdyś popierającej Franco, i nawet wśród członków Falangi. Opozycja w Falandze doprowadziła w lutym ubiegłego roku do kryzysu rządowego.

Wyrazem siły nastrojów monarchistycznych jest częściowa kapitulacja „caudilla” wobec nich. Było to w ubiegłym roku, gdy jeden z najbliższych współpracowników Franco — kontradmirał Luis Carrero Blanco oświadczył w Kortezach, iż Hiszpania zdążyła do restauracji monarchii z królem, który będzie „lojalnie służył zasadom ustroju”. Dodał on, że restauracja ta nastąpi, gdy gen. Franco „nie będzie już wśród nas”, lub gdy

„uzna on, że nadszedł właściwy moment”.

Określenie, że nowy monarcha ma być lojalny wobec ustroju frankistowskiego, wskazuje, że nie wchodzi tu w grę Don Juan, który skłania się ku koncepcjom monarchii liberalnej. Wszystkie natomiast wskazuje na to, że Franco przewiduje na przyszłego króla 19-letniego syna hrabiego

wyszedł w roku ubiegłym z trzecią lokatą na 271 kadetów, uzyskując stopień alferesa (podporucznika). Obecnie studjuje prawo i nauki polityczne na uniwersytecie madryckim. Gdy ukończy studia w 1960 roku będzie miał 22 lata, podczas gdy gen. Franco, który osobiście czuwa nad edukacją swego następcy, ukończy wówczas 67 rok życia



Juan Carlos w towarzystwie matki i ojca Don Juana

Barcelony — Juan Carlosa, którego pełny tytuł brzmi: Juan Carlos Alfonso Victor Maria de Bourbon, książę Asturii i kawaler Orderu Złotego Runa.

Młodziutki Juan Carlos od 10 roku życia przebywa w Hiszpanii na zasadzie porozumienia między gen. Franco i hrabią Barcelony. Ukończył ekskluzywną szkołę San Isidoro w Madrycie, po czym wstąpił do korpusu kadetów, z którego

Czy dojdzie do restauracji monarchii hiszpańskiej, czy też wcześniej zwyciężą w tym kraju siły demokratyczne, pokaże przyszłość. Tyle na dziś wymiolił

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

ogród nieplewiony

Artysta, który malował po śmierci...

Któż to taki? Ano słynny Vincent van Gogh, o którym czytamy w n-rze 9(319) „Życia Literackiego”, że „strzelił sobie z rewolweru (a z czego miał strzelać do siebie? z armaty?) w żołądek i umarł w Auvers en Provence w sierpniu 1890”.

Tymczasem najpiękniejsze swoje obrazy, znane na całym świecie, malował tenże malarz w roku 1890,



— Psiakość!... Dopiero teraz przyznajesz się, że jesteś tylko kapralem!

czyli po swej śmierci, a mianowicie słynny „Portrait du docteur Gachet” w maju tegoż roku, a nie mniej słynne widoki z Auvers, jak „L'église d'Auvers”, jak „Les vesenots à Auvers” i jak „Maisons à Auvers” w lipcu, zaś słynne „Mairie d'Auvers” namalował dokładnie 14 lipca tegoż roku, nie mówiąc już o innych arcydziełach takich jak „Les roses blanches” i „Souvenir du Nord” powstałych w tym czasie. Okazuje się także, że Vincent van Gogh nie tylko malował po śmierci, ale i rozmawiał z ludźmi, słyszano bowiem, jak dnia 29 lipca tegoż roku wypowiedział do brata owe słynne ostatnie swoje słowa: „La misère ne finira jamais”. („Nędza nie skończy się nigdy”). Widocznie przeczuł, że niejaki angielski samouk, Colin Wilson, będzie pisał o nim w „Życiu Literackim”.

Czym to wytłumaczyć? Chyba tym, że niektórzy sławni ludzie umierają dwa razy. Raz wcześniej z łaski piszących o nich różnych dyletantów, a później drugi raz faktycznie.

A z tym postrzałem „w żołądek” to też bujda. „Il s'est tiré une balle au couer, mais le projectile a glissé sur une côte et s'est logé dans l'aîne” — („Strzelił sobie w serce, ale kula ześliznęła się w bok i utkwiła w pachwinie”) jak pisze o tym znany vangogholog, Charles Terrasse.

O.

Przeciwno „Kukuleczce”

Głęboki, dźwięczny głos męski zapowiada: Już za pół minuty! Już za 5 sekund! Za sekundę!

Muzyka się urywa, cisza, wyczekiwanie, podniecenie. Oto już za sekundę szczęśliwi słuchacze radia będą mogli usłyszeć jak przebiegało kolejne ciągnięcie gry liczbowej „Syrenka”...

Gry liczbowe przerosły początkowe plany organizatorów, rozwinęły się jak grzyby po deszczu, zaatakowały 30 milionów Polaków z pozycji 5 liczb zwykłych i szóstej rezerwowej. Łódź jest dosłownie zasypana punktami totka - lotka, a w dni, w które oddaje się kupony „Kukuleczki” nie ma mowy, żeby się dopchać do kiosku po pudełko zapatek. Stąd „Kukulka” „Licyzypka” „Syrenka” — to już nie tylko prywatna, dosyć tania rozrywka, ale poważne zjawisko społeczne, o którym trzeba dyskutować, nad którym trzeba się zastanawiać, którym trzeba kierować. Cóż bowiem z tego, że tzw. inteligencja traktuje ów hazardzik lekceważąco, co z tego, że dowcipnie układają powiedzonką w rodzaju: „Nie każdy to naród takie szczęście spotka, żeby z totalizem trafił wprost do... totka”, skoro magia cyfr bezwzględnie rozprzestrzeniła się nad krajem Polan.

Temat to nie nowy, swego czasu „Życie Warszawy” przeprowadziło ankietę i dyskusję na ten temat, znów powiedziano paręnaście dowcipów — a zakłady totka-lotka wzrastają z każdym tygodniem. Czy to dobrze, czy źle?

Dobrze z punktu widzenia inwestycji mieszkaniowych, z punktu

widzenia nowych obiektów sportowych. Fatalnie z punktu widzenia pedagogiki społecznej.

Nie chodzi bowiem o to, że ludzie się zakładają, że gry liczbowe są formą bezmyślnego hazardu, chodzi o atmosferę, jaką wytworzone wokół tych spraw. Zaś wytworzono taką atmosferę: Kup kupon „Kukuleczki” a przyczynisz się w ten sposób do zbudowania socjalizmu.

A więc huczna, kosztowna reklama — w prasie, w radio, na słupach z ogłoszeniami. Wiadomo — „Kukuleczkę” stać na reklamę. A więc — wywiady ze „znakomitościami”, które wygrały pieniądze. A więc lzy rozczulenia, że Pan Iksiński typował na ślepo, pani Kwiatkowska, bo jej się śniło, zaś państwo Kowalskim nabazgrało dziecko. Gazety zachylają się ze szczęścia, że oto pobiliśmy znów rekordy w nadsyłaniu kuponów, albo, że zaraz pierwszego dnia znalaziono dwa kupony z trzema trafieniami. Cały kraj gra w gry liczbowe! Cały kraj śleczy nad cyframi, gdyż grać w „totka” i „Kukuleczkę” to społeczny obowiązek obywatela!

A co mówią tymczasem pedagodzy? Mówią, że hazard demoralizuje (zresztą świadczą o tym coraz częstsze procesy przeciwko „kanclarzom” cyfrowym). Właśnie w naszym ustroju jest chyba wysocce amoralne, jeżeli głupi bezmyślny przypadek robi człowieka właścicielem kilku milionów złotych. A więc nie ma się czym zbytnio chwalić — ani szczególnie propagować.

ALINA GRABOWSKA

Koło wcale nie piąte!

Gdzie jest łódzka prasa? Nie tylko „Życie Literackie”, ale nawet daleka, lubelska „Kamena”, chociaż dwutygodnik, dawno już pisała o „Piątym kole”. Tylko w Łodzi cicho. Wstyd.

„Piąte koło”, to nazwa grupy artystycznej, która (pod aktywnym patronatem Związku Literatów) uformowała się niedawno na terenie Łodzi. „Piąte koło” grupuje poetów, malarzy i architektów, wyznających podobny acz niejednolity światopogląd artystyczny. „Piąte koło” nie formuluje swojego programu. Ale członkowie „Koła”, przez kształt artystyczny swojej twórczości, bądź to poetyckiej, bądź plastycznej, niewątpliwie wyznaczają swojemu ugrupowaniu określony kierunek poszukiwań. W rezultacie „Piąte koło” stanowi w tej chwili w Łodzi jedyne centrum rzeczywistej awangardy.

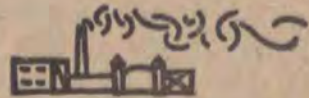
O tym wszystkim (ale nie tylko

o tym!) dowiedziałem się podczas otwarcia wystawy grafiki, urządzonej przez „Piąte koło” w lokalu Związku Literatów. Grupa ma już na swoim koncie kilka podobnych imprez. Ostatnio „Piąte koło” zorganizowało w salonie Nowej Kultury w Warszawie wystawę prac malarskich. Uczestniczy w tym pokazie T. Tyszkiewicz, J. Nowosielski, H. Poulain, Z. Głowacki, A. Łobodziński i I. Pierzgałski. „Piąte koło” zorganizowało także wystawę w Piotrkowie, dyskusję w Klubie Książki i Prasy, tudzież dwa wieczory dyskusyjne w Związku Literatów. Grupa wespół z Wydawnictwem Łódzkim wydała też wyjątkowo uroczy katalog wystawy; wiersze poetów sąsiadują tam z maleńkimi reprodukcjami dzieł plastyków.

„Piąte koło”. Nazwa podszyta sztywnością i nutką autoironii. Czy ta grupa, to rzeczywiście pią-

te koło? Na pewno nie. Bez tego koła łódzkie życie artystyczne daleko by nie zajechało... Dlatego głosujemy za aktywnym poparciem grupy. Jesteśmy zdania, że warto wydać w wieloletnim nakładzie (planowane i opracowane przez „Piąte koło”) wydanie albumowe, propagujące ideę ugrupowania, łączące reprodukcje obrazów z utworami poetyckimi i szeregiem ścisłych informacji. Jak mi wiadomo — redakcja „Odgłosów” skłonna jest przyjąć patronat wydawniczy nad tą pozycją, a także utworzyć łamy tygodnika dla spraw, dotyczących się dalszej egzystencji „Piątego koła” i kierunków jego rozwoju.

EDWARD ETLER



DUMAS MECENASEM ŁÓDZKICH POETÓW



Książki o sztuce

„Nowoczesne malarstwo polskie” prof. Tadeusza Dobrowolskiego pomyślane jest jako wyczerpująca, trzytomowa publikacja. Mimo specjalistycznego charakteru — a historia sztuki nie jest nazbyt popularna — wydawnictwo to stanowi cenną pozycję w działalności wydawniczej „Ossolineum”, tym bardziej że podrecznikowy charakter opracowania — zachowanie chronologii oraz nieograniczenie się do wybranego problemu — ułatwia czytelnikowi opanowanie ogromnego materiału, obejmującego dwadzieścia lat sztuki polskiej.

Profesor Tadeusz Dobrowolski jest nie tylko znawcą historii sztuki, ale znawcą języka polskiego, dzięki czemu książkę czyta się łatwo, a trudne stylistyczne fragmenty, jakimi są opisy obrazów i charakterystyka twórczości malarzy nie rażą sztucznością.

Jedną jest tylko rzecz trudna w odniesieniu do „Nowoczesnego malarstwa polskiego” — to sposób, w jaki zdobył 95 złotych na kupno książki — ale stworzenie tych trudności to inicjatywa wydawnictwa, publikujących książki z zakresu sztuki.

TERESA KMIĘCIŃSKA

Ukazały się pierwsze książki Wydawnictwa Łódzkiego i wśród nich powieść z historycznego cyklu Aleksandra Dumasa — ojca „Józef Balsamo”. Wydając Dumasa Wydawnictwo stworzyło pięcioletni zespół literatów łódzkich, na którego czele stanął nasz specjalista od powieści historycznej, a obecnie laureat miasta Łodzi, Władysław Rymkiewicz. Ta literacka ekipa zajęła się adaptowaniem pierwszego polskiego przekładu „Balsamo”, dokonanego przez Leona Rogalskiego w latach 1846—48. Zaczynam moją relację od Dumasa przede wszystkim dlatego, że mimo swego solidnego wieku miał on w roku 1957 i będzie jeszcze miał w roku bieżącym (ponieważ przygotowywane są dalsze części cyklu „Pamiętnik lekarza”) to aktualne znaczenie dla Wydawnictwa, że powieści jego należą do tak zwanych książek „reniownych”. Właśnie dzięki „Balsamo” mogliśmy pozwolić sobie na wydanie pierwszej serii Biblioteki Poetów.

Seria ta ukazała się w połowie grudnia ubiegłego roku i jest na ogół znana czytelnikom. Szczególną jej cechą jest to, że Wydawnictwo poeniło poezję z plastyką, łącząc teksty poetyckie z oryginalnym opracowaniem graficznym. Gdyby na miejsce dziesięciu tomików dwuarkusowych wydano zwykły tom wierszy jednego autora, tom, jakich ukazuje się wiele, nie zrobiłoby to specjalnego wrażenia. Natomiast pojawienie się artystycznie opracowanej serii było czymś dotąd nie spotykanym. W ciągu dwóch tygodni — jak mówią remanenty „Domu Książki” — rozszło się 1.500 egzemplarzy, które w pierwszym rzucie oddano do księgarni. Poza tym Wydawnictwo zaprezentowało czytelnikom od razu dziesięciu — a niedługo zaprezentuje dalszych jedenastu — poetów łódzkich, którzy przy systemie wydawania większych zbiorów poezji musieliby czekać w kolejkę 5 — 10 lat!

rów poezji musieliby czekać w kolejkę 5 — 10 lat!

Druga seria Biblioteki Poetów, która ukazała się w roku 1958, zawiera następujące tomiki poetyckie: T. Chrościelewski „Itaka”, St. Czernik „Stary plug”, W. Karcewska „Głucha ziemia”, J. Koprowski „W tym kraju”, M. Piechal „Ognie”, A. Pogonowska „Urzeczywistnienie”, Z. S'erp-Szczakowski „W tamtych oczach”, B. Sztajner „Chwila ahistoryczna” (debiut), J. Sztudynier „Puch ostu”, L. Świeżawski „Sosna Grottera i jesień”, G. Timofiejew „Gorycz wierzby”. Opracowanie graficzne plastyków łódzkich: Z. Głowackiego, A. Lubniewicza, J. Nowosielskiego, E. Pisarka, H. Poulaina, L. Róży, Cz. Sadowskiego, T. Tyszkiewiczowej, L. Wegnerowej i St. Wegnera.

Przy tej okazji chciałbym powiedzieć jeszcze parę słów o książkach Wydawnictwa Łódzkiego, które ukazały się w roku 1958 i 1959. Plan tych dwóch lat jest już ustalony, z twierdzonej i wykonywany jak najintensywniej przez redakcję Wydawnictwa.

Z publikacji poetyckich (Łódź, jak wiadomo, jest miastem poetów!) przygotowujemy cztery tomiki (każdy będzie miał około 120 stron) o treści poświęconej wyłącznie bieżącym sprawom polskiej poezji współczesnej. Głównym inspiratorem, organizatorem i redaktorem tej serii jest Stanisław Czernik, znany redaktor przedwojennej „Okolicy Poetów”. Tomiki ukazały się pod wspólnym tytułem: „Rzecz poetycka” i będą miały podtytuły: „Próg” (wypowiedzi o sytuacji w poezji współczesnej), „Tworzywo” (wypowiedzi poetów o procesie twórczym), „Młodzi” (utwory i wypowiedzi poetów młodego pokolenia) i „Sto wierszy” (wiersze współczesnych poetów polskich). Słowem powstanie coś w rodzaju czasopisma poetyckiego, na które już od dwunastu lat nikt się nie zdobył.

LEON GOMOLIŃSKI

TYLKO DLA NAIWNYCH! RZECZY ZMYŚLONE OWOCE MIŁOŚCI

O czym się najwięcej pisze w ogóle, że tak powiem, na świecie? O miłości. I o jej, że tak powiem, owocach zarówno w sensie realnym jak i duchowym. To się samo przez się rozumie, no nie?

A o czym się ostatnio najwięcej pisze, że tak powiem, w Polsce?

O poezji. I o jej, że tak powiem, owocach zarówno w sensie realnym jak i duchowym, to jest, że tak powiem, o miłości i o religii. Bo że miłość realna i religia nie-realna są rodzonymi, że tak powiem, dziećmi, czyli owocami poezji, to się samo przez się rozumie, no nie?

Ala jest miłość i miłość, to znaczy jest miłość, że tak powiem, prosta i miłość przewrotna. Na przykład zesławieńczy carat popierał w Polsce, a właściwie ufundował i rozbudował wielki przemysł włókienniczy. Dzięki niemu po-

wstała nasza Łódź. Jak sądzicie, moi drodzy, czy carat to robił z miłości do Polski, czy też z nienawiści do Niemiec? Oczywiście, że tylko i jedynie, że tak powiem, z niechęci do rozwijającej się wtedy potęgi przemysłowej Niemiec. A więc czy Łódź można nazwać owocem miłości, że tak powiem, przewrotnej? Przewrotnej — to się samo przez się rozumie, no nie? Rzekomej miłości caratu do Polski, której owocem jest Łódź, była jego nienawiść do Niemiec.

Następstwo zwałowania dziełocyny przez zwyrodnialca też jest owocem, ale czy owocem miłości? Otóż tak samo, a przynajmniej podobnie, że tak powiem, rzecz się ma w przypadku poezji i jej owoców, miłości i religii.

Są ludzie, którzy mówią, że poezja to właściwie fikcja, to wymysł podobnie jak religia i ostatecznie też miłość, która przecież jest, realnie biorąc, że tak powiem, fak-

tem fizjologicznym i niczym więcej. Owszem, że jest faktem fizjologicznym to jest, że tak powiem, niezbity fakt, ale właśnie, czy już ponadto, że tak powiem, faktycznie niczym więcej? To tak samo jak z walczącym, że tak powiem,

NAPISAŁ MARIAN PIECHAL

ateizmem. Walczy z Bogiem, ale już sam fakt walki potwierdza jego istnienie. Bo przecież nie walczy się z czymś, czego nie ma. Powie ktoś, że ateści zwalczają nie Boga, lecz wiarę w Boga — w takim razie powinni się zwać nie ateistami lecz afideistami od, że tak powiem, fideizmu czyli wiary. A takie rozszerzenie zakresu pewnej tendencji byłoby o wiele realniejsze i pożyteczniejsze, bo obejmowałoby w ogóle, że tak powiem, sferę ludzkich przesądów, dotyczących nie tylko bóstwa, ale i ubóstwień, jak na przykład przewrotna miłość do wódzów, do pewnych fikcji w polityce, do sug-

stii zbiorowej hysterii, do wszelkich w ogóle owoców szkodliwego, bo ogólniającego tak jednostkowo jak i zbiorowo fideizmu czyli wiary w złudzenia, no nie?

A taką wiarą w złudzenie jest także przewrotna miłość, której owoce są nieraz straszne. Na przykład owocami przewrotnej miłości Hitlera do narodu niemieckiego były miliony trupów innych narodów. A przykładem owoców przewrotnej wiary religijnej jest wyznanie arcy mordery, że tak powiem, teutońskiego z ostatniej wojny, tępego nienawistcy pruskiego, generała Guderiana, który swoimi potwornymi człogami bez żadnych skrępowań rozmaszował żyłcem tysiące bezbronných kobiet i dzieci na wszystkich drogach Polski, Holandii, Belgii, Francji, Jugosławii i Związku Radzieckiego, a który w swoim „Pamiętniku Żołnierza” (str. 284) potępił zdecydowanie zamach na życie Hitlera, motywując to w następujący sposób: „Osobiście jestem przeciwnikiem wszelkiej formy zabójstwa. Nasza chrześcijańska religia zawiera wyraźne co do tego przykazanie”. Ze to jest przewrotny cynizm religijny świ-

domego i wyrafinowanego na zimno zbrodniarza, to się samo przez się rozumie, no nie?

Tak tedy, gdy mowa o tak zwanych, że tak powiem, owocach miłości w rozmaitych dziedzinach życia, to proszę bardzo uważać, bo bywają one, że tak powiem, bardzo różne. Jak na przykład owoc miłości pewnego studenta-artysty do, pewnej studentki-artystki. Ich miłość była idealna, a jednak owoc tej ich takiej właśnie miłości całkiem realny. Więc on zakłopotany wielce tym nieprzewidywanym dlań, jako dla idealisty, obrotem rzeczy, napisał do ojca z zapytaniem: „Jak ojciec uważa, co mam teraz zrobić?”. A ojciec mu na to krótko oddepesował: „Kiedyś nie uważał jak robiłeś, to rób jak uważasz”.

Ze przyjmiecie to ode mnie, że tak powiem, jako przestrożę pod własnym adresem, to się samo przez się rozumie, no nie?

str. 7 **odgłosy**

MYDŁO

POD REDAKCJĄ ZYGMUNTA OSCIENIA

Cena 0 zł

1. IV. 58

Nr 1

MARIAN MIRIAM NORWID

Biurtyranizm

Na biurtyranizm, jak na rzecz obrzydłą,
Czemu się gniewam? — pytasz. Przymo: wcale
Ze się nie gniewam na najzysystsze mydło,
Którego pianę to jest wartość chwale.



Lubo — gdy wspomnę praczki polskie,
które
Ponad stawami coś klepią jak chmurę
(Z czego ktoś piękny zrobiłby obrazek) —
Dwukróć oceniam mydła wynalazek



SLABISŁAW CIERPIK

Stary plug i nowy smug

Otoć wracam, stary plugu, do cie,
do cie tam, kiedyś jest, na uwrocie
ostrzeszowskich strzech, gdzie polna rola,
rolne pola i wolna niedola
od zgiełku miast, od jazgotu krosien,
od ulicy Mickiewicza osiem,
gdzie krzyczy, ryczy klan pisuarzy
i się omal nie piórzy po tworzy,



Porzucam wreszcie ten ostep dziki,
gdzie różne chróścielne waleńczyki
i mrozowskie snują się zjawidła
barwne a mdle jako bańki z mydła.
Cóż przed sobą widzę? Nowe smugi!
Wracam tedy, splacając swe mydlane
długi,
do cie, stary plugu, i na migi
wezepiam się rękami w twe czepigi!

ANNA P. OGOŃSKA

Prawidła z mydła

Słońce radarową mierzwę światu
podnoś, błyszcząc promieniami widel
w górze. A tam obtok pełny szychu
drwi z mydła mgiełnych mamidel.



Plamą z plamy w płomienistą dramę
ulepię, samotność z prawidła wyprowadzę.
Wiem nie tylko ale i siebie, i męża mego
ramię
w lustrze — taką ma mydło władzę

RYMOSŁAW M. JARKIEWICZ

Do osiemdziesięcioletniej

Z dna płocenu w otchłań telluryczną
pogrążona, z ziarnkiem soli w oku,
młości mająk gonisz, rozwijając pod słońcem kolorowe
skrzydła,
urodzone w połowie wieku. Jego strach hucząc kryje
złudę. A to nie młód gorący, nie powidła,
to raczej barwna z mydła bańka.
Mami, a kiedy zbliżysz usta,
pęka jak rozkosz. Wewnątrz pusta.

JAN SZLAUCH-DYNDER

FRASZKI

Co kto lubi

Lubi matka,
lubi córka
me dwuznaczne
z mydła piórka.

Rada

Nie dowierzaj pozorom,
abyś nie wpadł w sidła:
idąc do dam z wizytą
nie zapomnij mydła.



MYDŁO W POEZJI I PROZIE POLSKIEJ • PISARZE ŁÓDZCY W HOŁDZIE MYDŁU • ANTOLOGIA AUTORÓW I ICH UTWORÓW

SOFRACY HAFRIN

Kto wynalazł mydło?

(nie znana kartka z życia Herszka z Ostropola)

W Ostropolu bród nie goła,
prócz jednego melameda.
Kto on? Szukaj wiatru w polu.
Nikt go nie zna. I w tym bieda!

Kiedy Herszek wreszcie pojął,
że melamed to mamidło,
na złość ostropolskim gojmom
z melameda zrobił mydło.

PERIAN MIECHAŁ

Wierzyłem

Wierzyłem w mydło
które skwaśło zanim
jeszcze w nie uwierzyłem
nie wiedząc że skwaśło

Są mydła które skwaśły
przed milionami lat
i jeszcze mydła
Ale ja nie jestem mydlogiemiem
ja chcę wierzyć w mydło blasku
nie w sam mydlny trzask
który jest coraz niklejszy
i wreszcie rozmydlony
w przestworzach
zanika

przemieniając się w kwas

RYSZARD B. RUDZIŃSKI

Droga na Parnas

Wszędzie obcinają
człowiekowi skrzydła:
dziś nawet na Parnas
trudno wejść bez mydła...



JANUSZ PONURY

Mydlarze

Jaki byłbym sławny,
jaki byłbym wielki,
gdyby nie te drobne
w życiu bagatelki!

Gdyby nie pisywał
fraszek J. Sztudynger,
byłbym as we fraszkach,
a tak — to on syngiel!

Gdyby nie pisywał
Giegier, Lec i Fijas,
byłbym as — lecz przy nich
sława mnie omija.

Gdyby nie Koprowski,
Sikirycy i jeszcze
kilku innych — byłbym
pierwszym w Łodzi wieszczem

Jak sam Piechal sławny,
jak sam Czernik wielkim,
gdyby nie te drobne
w życiu bagatelki!

Nowiej Andrzycki i Chybigniew Zbyliński

W JAŻDŻYNIE

W samym Jażdżynie nie
ciekawego. Ale za to w po-
bliskich Wiestawicach Jażdż-
dżyńskich aż wrze od sensa-
cji. Stary spółdzielczy
kmięć, Janko Brownski, wy-
nalazł środek do prania,
nazwany przez niego my-
dłem.

— Jak wpadliście na ten
swoj wiekopomny wynalaz-
zek? — zapytaliśmy czcigod-
nego spółdzielcę Jana.

— He? Ha? Ze co? Ze
wpadłem? Wcale nie wpa-
dłem! — zaprzeczył gwałto-
wnie, nadstawiając ucha,
przyglądając mocno starowi-
na. Dopiero smagły i śmigły
jego pomocnik z pegeeru, a
parobczak, jak się okazało
wnuk z pokrewieństwa,
Wojtek Drygas, zwinawszy
dionie w trąbkę, huknął mu
do ucha i w ten sposób wy-
jaśnił, o co chodzi.

— Etymologicznie! — od-
powiedział, pojawiwszy wresz-
cie, z wrodzoną sobie bystrą
inteligencją i naturalną pro-
stotą ten z pozorów dobrodu-
szny pocziwiec, a z wyglą-
du zaśniedziły nieokrzesza-
niec o tępych spojrzeniu
prymitywa, o zarosłej plu-
gawą szczecią pomarszczo-
nej twarzy i nikczemnej po-
sturze, przypominającej
znaną postać Pikifora z
Krynicy.

— Zastanawiała mnie
zawsze bliskoznacność se-
mantyczna dwóch bezoko-
liczników, a mianowicie
modlic i mydlic z dodatkiem
słowa posiłkowego się. Po-
myślałem sobie, że musi w
tym coś być. I zacząłem te-
orię sprawdzać praktyką.

— W jaki sposób?
— Ano w taki: zacząłem
się modlić tak długo, aż się
zmydliłem. Produkt tego
zmydlenia to właśnie my-
dło.



CHUDEUSZ TŁUSCIELEWSKI

Krzyk w mydlinach

Krzyk był krótki, bolesny
w mydlinie
I o wschodzie więcej pian, niż rosy,
I krzyk: Patrzcie, mydło, mydło
płynię! —
Drżącą pianą wil się w niebogłosy.

Były mydła śpiżowym zadziorem
Ryte w glazach i jak Janek czarne.
Chwała dloni z niemytym toporem,
Chwała, chwała!...
A dziś w Janku garnek.

SIKOR IGIRYCKI

Panny i wanny

Tyle panien! Skąd te panny?
Od ich ciał aż biało!
Kaźda panna chce do wanny
zanurzyć swe ciało.

Panna z panną nad pannami
na okolo panien!
Wszystkie panny chcą do wanny!
Skąd wziąć tyle wanien?

Gdyby nawet były wanny,
to nowy ambaras:
bo czym wymyję wszystkie panny
w wszystkich wannach naraz?

To jest problem! To zagadka!
Ietne diabie sidła!
Wiem — wiem! Wszak, gdy panna
gladka,
nie potrzeba mydła.

Zamiast mydła
można rybę,
zwłaszcza kiedy śliska.
Ryba w wannie,
radość pannie,
Jak mówią ludziska.

— Czy każde modlenie
prowadzi do zmydlenia?
— Nie każde! Toteż nie-
raz, aby przyspieszyć reak-
cję, należy jej pomóc napa-
rzeniem.

— Jak się to robi?
— Ano, Wojtek, pokaż pa-
nom! — zwrócił się staruch
do wnuka.

Ten z miejsca zabrał się
do nas tak ochotnie, i sku-
tecznie, że aż stary musiał
interweniować.

— Dość! — krzyknął roz-
kazująco. — A teraz klekaj-
cie!

Naparzeni, padliśmy na
kolana, i zaczęliśmy się mo-
dlić tak żarliwie, że wnet
mydło zaczęło z nas ściekać
kroplami.

RYMISŁAW WŁADKIEWICZ

Mańka z mydła

W połowie XI wieku we
wsi Mydło żyła dziewczyna tel-
warczna, imieniem Mańka, z
tego szerepu młodek prasio-
wianek, co to i urodne i
rodne. W dzień na okraju da-
nej królewskiej wsi wpo-
dłe lasu odrabiała skwarną pań-
szczyznę, a w nocy marzyła
o spółdzielni produkcyjnej.
Te rewolucyjne myśli ucie-
mionej córki ludu lechickiego
doszły na zamek kró-
la jegomości, który w swym
dalekowszonym planie sze-
ściolatnim zamierował wy-
porządzić fabrykę sposobów
i środków do namydlenia
proc, kusz, gwerów i sara-
ceńskich katapult.

Mańka, zapłodniona swą
myślą, chodziła jak ciężarna,
siedząc w cichym i zapiec-
kowym Mydle na okraju wsi
wpo-
dłe lasu. Płocząc wleczo-
rem nogi i inne części znu-
żonego myślni ciała w rzece
Mydlance, rwała na jej brze-
gach kwitnące zioła zwane
mydlnikami. Rwała je dla
Kuby, którego kochała.

— Nie mydl mi oczu! —
odpowiedział na to Kuba. —
A kłepaj daj!

— Cegój? — zapytała dziw-
nie przymydlonym głosem.

— Tegój, co się mydli! —
wypalił oblechczywie paro-
bek, upity moszczem samodu-
ru.

— Ale się nie wymydlili! —
odcięła z przyzwoleniem.

On wziął.
(ciąg dalszy nastąpi)

Nowości wydawnicze

Ostatnio ukazały się w wi-
trynach księgarskich nastę-
pujące ciekawe pozycje:

Jerzy Maleńczyk — „My-
dło półświatła” (wiersze)

Mary Lina Hąbrowska —
„Mydlarz doskonały” (stu-
dium o Przybyszewskim)

Prof. dr Saliusz Jalonj —
„Na jakim mydle wyszedł
Zabłocki?”

Gadeusz Rapier — „Róż-
ne gatunki mydła jako po-
karm dla bydła”.

Prof. dr Stefania S. Kwar-
czyńska — „Wyobraźnia Nor-
wida a mydło” (z powodu
wiersza „Purytanizm”)

Tadeusz Sz. Ewera — „Pa-
sza” mydlana” (różne sposoby
przyrzadzania)

Ariadna D. Emkowska —
„365 potraw z mydła” (pod-
ręcznik dla szkół)

Prof. Enryk Atz — „Myd-
ło a marksizm” (idea mydła
w rozwoju wieków)

Gomol Leonicki — „Współ-
ne mydło Puszkina i Mickie-
wicza” (jako spoidło przyja-
źni)

Stefan Żołądkiewski —
„MYDŁO, część III, dramat
narodowy” (na tle politycz-
nym, przypisy i komentarze)

Stefan K. Isielewski —
„Mydlenie oczu” (zbiór prze-
mówień sejmowych)

St. B. Rucz — „Mydło ja-
ko małżeństwo spoidła” (pora-
dnik ginek.)

Władysław St. Rzelecki —
„Rymy mydlane, jutro świa-
tlane” (poezja)

ZBIGNIEW NIENACKI

ZABÓJSTWO HERAKLIUSZA PRONOBISA

Powieść

ILLUSTRACJE
JERZEGO NOWOSIELSKIEGO

STRESZCZENIE

W ruinach starego opactwa zmarł nagłe H. Pronobis, sędziwy zbieracz ekslibrisów. Przyjaciele jego — poeta Nataniel i Tomasz, publicysta „Bibliofila Polskiego” — sądzą, że staruszek został zamordowany. Podejrzewają o morderstwo dwóch tajemniczych białych mnichów i piękną, młodą kobietę, zwaną „Czarną Młody” oraz jej dwóch przyjaciół przeciwskierem Szczurek i Bach Majonosy. Powodem zabójstwa była prawdopodobnie sprawa jakichś skarbow rycerza Baldaricha-Baldrzycha. Znalezione w książce karteczka prowadzi Tomasa na trop zabójców, każe mu pojechać do starego dworu w Łekach.

Tomasz znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Jest publicystą „Bibliofila Polskiego”, czasopisma, które potępilo Pronobisa jako zbieracza ekslibrisów. Z drugiej zaś strony należy on do najserdeczniejszych przyjaciół Pronobisa, ukrywa tę przyjaźń, bojąc się stracić posadę w redakcji.

Nie od dziś ucze was drodzy przyjaciele — zaczął bardzo dobitnie „Ten stary szympans” czyli Naczelny Redaktor „Bibliofila Polskiego” — iż najlepszym sprawdzianem pracy jest opinia, jaką wydadzą o nas przeciwnicy. Jeśli mówią dobrze, winno być to dla nas sygnałem, że coś w naszej pracy nie jest właściwe, coś zaczyna się psuć, coś wymaga naprawy. Pamiętajcie, jak to było z wiedeńskimi korespondencjami kochanego Tomasa? Przeciwnicy napisali o nim; ten pisarka w swych reportażach zdobywa się na rzadki u nich obiektywizm. Co to znaczy „obiektywizm”? Czy „obiektywizm” naszych wrogów jest i naszym obiektywizmem? Nie. Ich „obiektywizm” jest kłamstwem. Kolega Tomasz zdobywał się na wrogi obiektywizm i dlatego, gdy pochwalili go nasi przeciwnicy słusznie odwołaliśmy Tomasa z Wiednia. Czy pojajesz już tę sprawę, drogi Tomaszu?

— Staram się — rzekłem nieszczerze.
— Tym razem jednak mamy na swym koncie rzecz godną naśladowictwa. Wrogowie pieni się ze złości, szaleją, wlewają na nas kubły wywisk i kalumni. To dobrze, to wspaniale, to nadzwyczajnie! To znaczy, że pracujemy właściwie. Spójrzcie bowiem — tu rozłożył na stole gazetę — biorą w obronę Herakliusza Pronobisa. Piszą, a raczej bezczelnie gryzmolą, że Pronobis umarł na wygnaniu, żeśmy go zaszczuli, zadreżycyli na śmierć. Gryzmolą, że jesteśmy potwory niekulturalne. Oto najlepszy dowód, że nasza akcja przeciw Pronobisowi była słuszna. Jeśli staneli w jego obronie, dali tym przekonywającą dowód, że w dziele Pronobisa kryło się wielkie niebezpieczeństwo.
— Pronobis... Pronobis... „orate pro nobis” — wetschnąłem smutnie. I przypomniały mi się chwile sprzed dwóch lat, pierwsze wiosenne dni, gdy z dachów skapywał roztałajony śnieg. Poznałem Pronobisa w Wiedniu, mieszkał w staroświeckim hotelu przy Hauptstrasse 7.

Pronobis całe dni spędzał w tajnym archiwum austriackiej policji z niezwykłą drobiazgowością poszukując tropów dwóch największych czarnoksiężników epoki Odrodzenia: Johna Dee i Edwarda Kelleya. Z Wiednia zamierzał Pronobis pojechać do Anglii, aby tam przeczytać oryginalną prowadzoną przez Dea szczegółowego „Diariusza” jego pobytu w Polsce. Lecz nie danym już było Pronobisowi odbyć tę podróż. Wówczas to zaczęły się jego kłopoty związane z dziełkiem o „ex librisach” a pierwszym ich wyrazem było odebranie Herakliuszowi stypendium naukowego na pobyt za granicą.

Spowodował to „Ten stary szympans”, rozpoczynając na łamach „Bibliofila Polskiego” krytykę prac Pronobisa o polskich ekslibrisach. Miał on do sędziwego staruszka zadawaną niechęć. Pronobis był ongiś redaktorem „Kwartalnika historycznego” i nie wyduko-

wał „Sympanowi” jakiegoś głupawego artykułu. Odtąd ten zaprzysiągł mu zemstę. Mścił się więc teraz korzystając z lamów „Bibliofila”, a dopomagała mu w tym łatwość, z jaką w owym czasie posługiwano się wątpliwymi frazesami!

„Sympan” trzął głową jakby zamiast kępki puchu na głowie miał pióropusz dzielnego wodza Irokezów:

— Wrogiemu piórnemu trzeba dać zdecydowaną odprawę — wołał — czyż nie powiedział! Kto to uczyni? Kto napisze artykuł polemiczny?...

Zatałem oddech w pierśiach. Wiedziałem, wybór jego od dawna padł na mnie. Przecież dla tego celu wezwano mnie tu dzisiaj.

„Serce bohatera” klepał mnie w plecy swą małą dłoń.

— Tomasz! Ten to zrobi najlepiej.

„Figuranci” zakasłali z aprobatą. „Mniszka” wzniosła oczy modliwie. Odczuwałem ścisłe w dotyk, jakbym mknął na czterdzieste piętro szybkościową windą. Jak na moim miejscu postąpiłby mistrz Nataniel? — Zanotowałem sobie zrozpaczone.

Wreszcie wyjąkałem:

— Czy mogę prosić o dwa dni do namysłu?

„Ten stary szympans” z zadowolenia jeszcze bardziej wydał swe wypukłe policzki.

— Ależ naturalnie, Tomasz. Widzę, że poważnie potraktowałeś tę sprawę.

Opuściłem zebranie z ciężkim sercem. Dwa dni?... — rozmyślałem. — Dwa dni? Kto wie co zdąży się jutro? Jutro: „28.XII.52 r. Meble. Dwór w Łekach”...

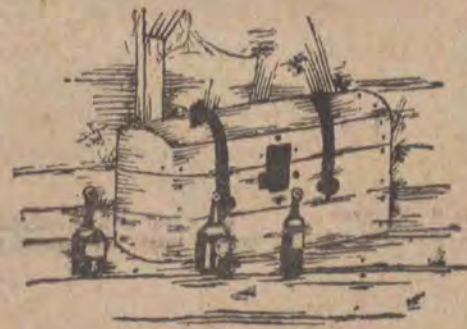
ROZDZIAŁ VI STRASZNY DWÓR

— Nie sadzisz, Natanielu, że to wszystko nie ma najmniejszego sensu? — powiedziałem.

— Taak? — ziewnął mistrz i wstrząsnął chłodem jeszcze bardziej wtulił głowę w bobrowy kołnier swego futra.

— Tak, to wszystko nie ma sensu — powtórzyłem czupurnie. Gotów byłbym nawet do klótni byle tylko przerwać nareszcie wstrętą nudę wyczekiwania na zakurzone strychu starego dworu w Łekach.

— Mój Boże, jakże ty jesteś egzaltowany — ziewnął znowu mistrz Nataniel. — Radzę ci



po przyjacielu, nakreśli „Dzieje sulewo-wskich opatów” i na 10 lat złam pióro. Potem wystąp z książką pt. „Zasady czarnoksiężstwa” (a rzecz, że za 10 lat właśnie ten temat będzie bardzo aktualny) i znowu złam pióro. Zło w tym, że ty nigdy moich rad nie słuchasz.

— Jesteś człowiekiem starej daty.

— Czyżby? — ironizował. — Zapamiętaj Tomasz, co powiedział Szopenhauer w swym „Aphorismen”: „Czyż każdy autor na to pisze, żeby innych zrobić mądrymi? Dosyć, gdy okaże, że sam jest mądry”...

— Kuj żelazo póki gorące! Człowiek jest kowalem własnego szczęścia! — huknąłem raźnie, rozgniewany aforyzmem mistrza. Lecz ten odparł niedbale:

— Niejeden kując sobie fortunę, używa za kowadło... swego bliźniego.

Czułem się ostatecznie pogrzebiony. Nuda wylaływała mi szczękę. Już cztery godziny siedzieliśmy na brudnym strychu.

Dwór był stary, z drugiej połowy XVII wieku, drewniany, parterowy, zrębowej konstrukcji.

Stał na niewielkim wzniesieniu otoczonym fosą wypełnioną wodą. Mostek na fosie zgnił i wzniesienie z dworkiem stało się wysepką. Dostać się tam można było jedynie po przerzuczonej nad fosą wąskiej i chwiejnej desce. Dookoła rósł dziki i rozleżył park, a na skrajku parku, gdzieś o dwa kilometry od rudery, znajdowały się zabudowania PGR stanowiące ongiś małe mieszkalnictwo dworku. W PGR pozostawiliśmy w południe samochód Nataniela i okrywał tajemnicą cel naszego przybycia powędrowaliśmy na wyspę, uprzednio w niedalekiej Głębokiej Spółdzielni znopatrzywszy się w dwie butelki złotowego likieru. Miał on nam służyć do dodania animuszu oraz dla rozgrzewki, dzieł był bowiem mroźny, choć słoneczny i bezśnieżny.

Najpierw dokładnie zwiędziliśmy cały teren — park i wysepkę. Wydawały się nam puste i bezładne — nic nie wzbudzało podejrzeń. Brudne, cienne, zabite deskami pokoje dworu pełne jakichś starych, połamanych sprzętów podziały na nas odstraszało. Po

szczybatego drabinie dostaliśmy się na strych gdzie było równie brudno jak i w pokojach, lecz więcej świeżego powietrza i światła, które wpadało tu przez dziury w dachu. Wy naleźliśmy zaciśniętą kacię na rozwalonej skrzyni obok komina, postawiliśmy na podłodze butelki. Otuleni paltami, od czasu do czasu wzmacniając się likierem, wyczekiwaliśmy nadejścia gości „zapowiedzianych” w tajemniczej kartce.

Zapowiedzianych??... A jeśli owa kartka oznaczała coś zupełnie innego? Byliśmy chyba bardzo niepoważnymi ludźmi decydując się na eskapadę do dworu w Łekach?...

Słońce, zaszło czerwono wróżąc na jutro wietrzną pogodę. Na noc brat mróz. Trząłem się z zimna w swym paletku z zagranicznego łażsu. Dlatego może częściej niż Nataniel chwytalem za szybką butelkę. Każdy lyk likieru był jak kawałek zamrożonego ognia. W pięciu zimny, w żołądku poczynał tajać i rozlewał się żarem.

— Nie, Natanielu. Nie ma sensu bezskutecznie wyczekiwać. Spójrz ile tu pajęczyn!

— Pajaki przynoszą szczęście — zauważył mistrz.

— Boże, tylko nie mów aforyzmów — jęknąłem.

— No cóż? Jestem człowiekiem starej daty

— rzekł cierpko. Chwyćcie go za rękę:

— Pst! Cicho! Słyszysz!...

Ale to tylko myszy chrobały za kominem. Strych wypełniał się ciemnością, w parku drzewa szumiły głośno i niemuzykalnie.

— Tak, jestem człowiekiem starej daty. Wiem co potrafię dać światu i wiem, czego mogę od niego wymagać. Natomiast ty, Tomasz, stałeś się człowiekiem zagubionym. Stąd te twoje okrzyki: „To wszystko nie ma sensu”.

Gdybyś chociaż nie wydał ich z siebie z dziarską miną znakomitego odkrywcy. A jeśli jest jakiś sens, Tomasz? Sprawa Pronobisa zaczyna cie niepokoić. Pisz więc wytrwale swoje „Dzieje opatów”. Uczy nas bowiem pewien poeta:

„Kto mówi o historii, jest zawsze bezpieczny.

Przeciwko niemu nie wstaną umarli”.

Drzewa w parku umilkły, ustał wiatr, mróz brał coraz większy. Byłem zdrowy, nie wiem, z zimna czy od nieruchomego siedzenia na niewygodnej skrzyni. Zamierzałem trochę rozprostować nogi, ale na strychu zaległa noc, spróchniały sufity rosiły się od dziur, każde nieostrożne stąpienie groziło upadkiem w dół, do zagrażonych pokoiów.

Ktoś kaszlnął w pobliżu? A może znowu myszy chrobocą. Nie. Wyraźnie slychać kaszel. Ktoś idąc tutaj rozkaszał się nagle... Teraz slychać szmer rozmowy. Szmer ten narasta. Nadchodzący zbliżają się szybkimi krokami.

Ująłem dłoń Nataniela.

— Nadchodzą...

Drzwi wejściowe do dworu, trzymające się na jednym przedrzwiałym zawiasie — zapiały jak doznany kogut. Potem na drewnianej podłodze w sieni załomotały środki. W szparach sufitu zamigotało światło latarki. Tajemniczy przybysz wszedł najpierw do sieni, a stąd do pierwszego po lewej stronie pokoju i obchodząc wolno całe domostwo. Strych nasz był pusty, przestronny. Szlak ich wędrowki rozpoznawaliśmy po ruchu światła latarki, która coraz to w innej szparze sufitu migotała żółtym blaskiem. Sądziłem, że są we dworze zupełnie sami, zachowywali się swobodnie, hałaśliwie, przesuwali jakieś sprzęty, kleli, tupali nogami, rozmawiali głośno, ale słowa rozmowy potrafiłymi rozróżnić dopiero, gdy znajdowali się w salonie przylegającym do kuchni, nad którą ucieryliśmy się z Nataniemem. Głosy ich wydały mi się dziwnie znajome.

— Bach Majonosy? Jak Boga kocham, Bach Majonosy! Grzm jak trąby archaniełskie — mruknąłem uradowany do mistrza. — Rozpoznajesz i ten drugi głosik, cieniutki, piskliwy? To Szczurek, on z całą pewnością.

Mistrz zeszedł ostrożnie ze skrzyni i przykleknąłszy zasiadł jak kot nad szparą.

— „Jeśli upadłego chcesz podźwignąć” — rzekł cicho zaglądając do dziury w suficie — „musisz się nad nim pochylić”, powiedziarskie jest u św. Grzegorza. A w Ewangelii Łukasz...

Nie dokończył. W szparze ukazała się światłość, przybysz wszedł do kuchni.

— Sze! będzie musiał wypożyczyć meżarówkę, inaczej tego wszystkiego nie zabierze. Ech, znowu się obowi, a nam odpałi dole jak ostatnim lechudrom. Ale dla dziewczyny na pewno będzie hojniejszy.

Zarechotał. Jeden grubo, drugi cieniutko.

— Sze! się w niej durzy. Kiedyś po pijanemu zwierzał mi się, że zaproponował jej małżeństwo. Z miejsca go odpałiła.

— Pewnie ma jakiegoś fatygianta.

— Nie ma. W tym sek. Sze! kazał ją śdzieć i okazuje się, że żyje samotnie jak palec. Cnotliwa Zuzanna. Maż był pijak i lepszy bandzior. Zastrzelił go podczas ucieczki z więzienia. To on ja do nas wciągnął. Arystokratka, psiekrew. Na Wolontu jakieś tam majątki mieli, rozparcelowali — opowiadał Szczurek.

— Ja, tam bracie, arystokracji nie cenię. Wiedzę szanuję. — W Bachu Majonosym odezwał się demokratą. — Ona Historię Sztuki kończyła, czy jak to się tam nazywa. Rozznaje się w tym wszystkim lepiej od szefa. Dlatego tak się z nią cacka, to jakiś prezentek, to znowu gratyfikacja...

— Nie bój się, odłóżka go nie wpuści.

— A ciebie?

— Idź, ty durny.

— Ja tam nie wierzę w jej cnotę. Kobieta piękna, młoda, zdrowa. Ile ona ma lat?

— Dwadzieścia siedem.
— No widzisz. Raz byłem z nią w kawiarni, czekaliśmy na szefa. Obok przy stoliku siedział przystojniaczek. Patrzył na nią jak w tęczę. A ona jak kotka ścisłać, oczy przy-rzucać — opisywał Bach Majonosy.

— I co? I co? — pytał lakomicznie Szczurek.

— Nic. Przyszedł szef i pojechaliśmy do Przekleńnika skarbow szukać.

— Odnajdzie ona te skarby?

— Nie bój się, odnajdzie. Tylko, że ani ty, ani ja nawet ich nie powachamy.

— A potem do Borowa. Ech, tam się można cblowić...

Zaklaskała dłoń na dnie pełnej butelki. Złoczyfcy wybijali korek. Czyżby zamierzali tu urządzać pijaństwo? Szef i szef, ciągle mówią o jakimś szefie. Któż to taki, u diabła? A swoją drogą jak to ładnie ze strony Czarną Młody, że tak broni swych wdzięków pierwszemu lepszemu bandwie. A może on nie „pierwszy lepszy”? No, Młady chyba zna się na tym, miała przeleż meża bandziora. Arystokratka? Mój Boże, na co to przyszło naszej arystokracji. Zachowują się jak w soc-realistycznej powieści.

Jednego tylko nie rozumiałem. Co miał z nimi wspólnego stary dwór w Łekach, po co tu przyjechał Szczurek i Bach Majonosy?

„Meble” — pisało w tajemniczej karteczce. Czyżby w grę wchodziły te stare połamane graty walające się po pokojach?

Natanielowi zapewne ścierpły nosi od długiego kłeczenia. Spróbował zmienić pozycję. Ledwie drgnął, a już na dół poczęło przysyć trocinami i twakiem. Złoczyfcy zakleli, ktoremuś napadła za kołnier i do butelki z wodką.

— Cholera, myszy na górze harcują — pisał Szczurek.

— A wiesz, że w tym dworze straszy?

— Bzdurysz!...

— Prawdę mówię. Słowo honoru — przysięgał Bach. — Tu jest fatalne miejsce. Od końca wojny nikt tu nie chce mieszkać, ludzie omijają dwoje jak zaraze. Regularnie co dwa lata znajdują tutaj trupa. Zawsze po Nowym Roku, nigdy przed nim. Już trzy trupy znaleźli.

— Co ty bajdurzysz?

— No tak. To znaczy nie wiadomo, czy akurat tutaj popełniono morderstwo, ale tutaj były trupy.

— Bzdurysz!

— W gazetach pisali.

— Teraz takich rzeczy nie opisują. A co to za trupy? Męskie, kobiece?

— Różnie. Raz była kobieta, młoda. Dwa razy mężczyźni. I tak co dwa lata. Nikt trupów nie rozpoznał, nietutejsze.

Nataniel znowu się poruszył i na dół sypnęło kurzem i trocinami. Złoczyfcy zamilkli nadsluchując. Szczurek zapytał niepewnie:

— A kiedy ostatni raz trupa znaleźli?

— O, będzie już dwa lata — odparł pogodnie Bach.

Straszy go, celowo go straszy — doszedłem, do wniosku.

— Dzisiaj jest dwudziesty ósmy grudnia — mruknął wreszcie Majonosy.



Uważaj, bo przeholujesz i straszanie ci wierzyć — strofowałem go w duchu.

— Trupy leżały zawsze w sieni, obok kuchni. Głowy miały ucięte — uzupełniał ponuro Bach.

Wtem rozległ się wielki trzask. Kłęb kurzu i pyłu uderzył mi w oczy. Nataniel wrzasnął: „00000000”. Pękły deski pod jego nogami, załomotało i spadł na dół między złoczyfców. Znowu załomotało.

(d. c. n.)

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”.
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79.
Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł, kwartalnie 12 zł, oraz PUPIK „Ruch”.
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze
Łódź, ul. Roosevelta 17, konto PKO — Łódź 7 — 6-979 z załączeniem
„na „Odgłosy”. Druk „Prasa”, Łódź, Zwirki 17, Zam. 574. III. 58. M-4

str. 9 **odgłosy**

ODGŁOSY (wiosny)

Z ostatniej chwili

Już jutro spotkanie ministrów Miejscem spotkania — Warszawa!

(Red. Ksawery Żdziebko kabluje ze stolicy)

Waszemu korespondentowi udało się uzyskać ze sfery jak najbardziej oficjalnych potwierdzenie sensacyjnych pogłosek, które ostatnio kursowały z ust do ust, z ucha do ucha, z magła do magła. TAK, MOI DRODZY — RZECZYWISTE! JUŻ JUTRO NASTAPI W WARSZAWIE SPOTKANIE CZTERECH

MINISTRÓW, którzy zjedną się przy lampce wina, na tradycyjnym cotygodniowym brydżu.

Grać będą: Minister Zbiórki Odpadków, Minister Zbiórki Złomu, Minister Zbiórki Makulatury oraz Minister Rozbiórki.

Z kół zbliżonych do stercni-

ka nawy państwowej donoszą, iż brydż rozegrany zostanie systemem „partefix”, przy czym Min. Zbiórki Makulatury zagra wspólnie z Min. Rozbiórki.

Nasza redakcja przyłącza się do życzeń pomyślniej licytacji, rozgrywki i wistów — oraz wielkich szlemów!



NIEZWYKŁY PRZYPADEK

W 17 klinice dla noworodków przy ul. Nadziei zdarzył się dzisiaj nocy zupełnie niespotykany zbieg okoliczności. Okazało się bowiem, że wszyscy stkie osiem urodzonych dziewczyn: ma na imię — Marysia, a pozostałych dziewięć „pętaćków — płci męskiej — to same Józki.

ZADNA ZE SZCZESLIWYCH MATEK NIE ZGŁOSIŁA REKLAMACJI w sprawie imienia swej pociechy. Zdarzenie zaprotokółowano przez powstanie z miejsc i od śpiewanie „Hymnu Wiosny”.

K. Zdz.

ZAKWITŁY CHRYZANTEMY

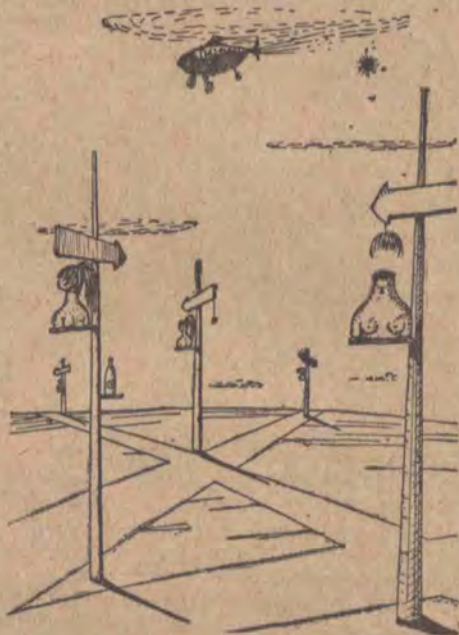
W ogrodzie p. Vittorio Miligramo na Sycylii zakwitły onegdaj pierwsze chryzantemy. Ogrodnik wyraził głośnym chrząknięciem swoje dogłębne ukontentowanie. (Wiadomość przetelefonował z Sycylii red. Ksawery Żdz.).

II

Historia o Bzdurowie we fraszkach i obrazkach

Idiota do Bzdurowa trafił bez znajomości geografii.

Napisał JAN CZARNY
Rys. HENRI POULAIN



Brigitte Bardot w Łodzi!!!

Najsłynniejsza chyba aktoreczka doby dzisiejszej, mademoiselle Brigitte Bardot, rozmawiała onegdaj ze specjalnym wyłannikiem „Odgłosów” w tutejszym Grand-Hotelu (patrz zdjęcie powyżej — z lewej wasz ceniony korespondent, red. Ksawery Żdziebko, z prawej — panna Bardot).

W CZASIE TEJ MILUTKIEJ INTERWJU, UROCZA „BEBE” WYRAZIŁA CHĘĆ NATYCHMIASTOWEGO UDANIA SIĘ DO ŁODZI.

Zamiar ten nasza gwiazdeczka zaraz spełniła. Prosto z paryskiego Grand-Hotelu rozkoszna kobietka podążyła nad Sekwanę, gdzie wsiadła do łodzi i urządziła sobie małą przejażdżkę po rzece.

Na cienistych bulwarach zebrały się tłumy paryżan, tudzież cudzoziemców, wivatujących na cześć prześlizniętej panny. Ofiar w ludziach — nie zanotowano.



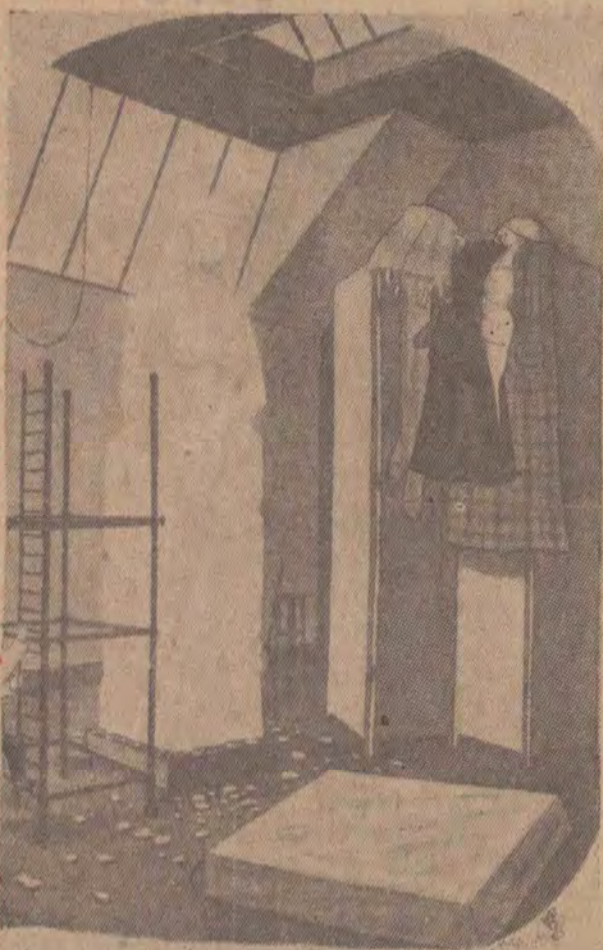
REDAKTORSKIE WOJAZE

Nasz nieoceniony współpracownik, redaktor Ksawery Żdziebko, zamierza udać się w najbliższym czasie w podróż dookoła świata na ozdobionym skuterze marki „FIPS”, konstrukcji inż. Tadeusza Chm. Red. Żdziebko obiecał nadesłać kupę interesujących reportaży z dziewięciu potaci naszego starego globu. Ano, zobaczymy. W każdym razie — pomyślnych wiatrów!

K. Z.

CHARLES ADDAMS

Najostrzejsze ołówki świata



Bardzo dziwny i skomplikowany jest mechanizm naszej reakcji na dowcipny rysunek Addamsa. Najpierw nie bardzo rozumiemy, o co chodzi. Potem ogarnia nas przerażenie. Wreszcie rodzi się uśmiech. Ale nie jest to śmiech serdeczny i bez troski, pokrywa on tylko jakiś niepokój, jakiś dreszczyk...

Domem Addamsa są sytuacje niesamowite, pełne grozy. Mroczny świat, pełen odrażających postaci! Jest w tym niemal chorobliwa obsesja, rozbrajana tylko częściowo przez komizm. Oto „Straszna rodzina”: zamieszkuje przeraźliwie smutną i dę — skretyniały ojciec, matka-widmo, para dzieci — sadystów, służący — kryminalista. Najszczęśliwsze chwile dla matki — to ponure, stotne wieczory jesieni, kiedy ze wszystkich kątów domu wylażą szczury, ropuchy, wylatują nietoperze... Ulubiona zabawa piekielnych smarkaczy — przyrządzanie truczizn...

„Straszna rodzina” obejmuje cykl kilkuset rysunków, wydawanych także w odrębnych zbiorach książkowych. Prawie równie sławny jest cykl „afrykański”.

Charles Addams — obok Steinberga — jest najpopu-

larniejszym humorystą w odkrywcy, ujawnia nowe USA. Współpracuje stale ze wszelkimi komizmami: śmiech znakomitym tygodnikiem poprzez grzę.

„New Yorker”.

J. Weychert

ZA TYDZIEŃ:
RONALD SEARLE

— czyli wróg pensjonarek.



— Wszystko zatłwione, młody człowieku. W najbliższą sobotę otrzymasz doktorat, a już w poniedziałek zaczniesz pracę jako naczelny dyrektor trustu Rockefellera.

HOKEIŚCI WYGRALI

Popularni nasi hokeiści, pp. Koczab i Chodakowski, po powrocie z Oslo wygrali onegdaj do spółki 13 złotych w Toto-Lotka.



— Będiesz dobra dla braciśzka?

RONALD SEARLE
Z cyklu „Straszni dorośli”



CO UCZYNI TERAZ
SŁAWNY DETEKTYW
DICK TRACY?

Dalszy ciąg
za rok

PROF. CEZARY BRÓDKA MA GŁOS



Dośedłem do niezaprze-
czalnego wniosku, że przy-
czynny przestępczości tkwią
w złym stanie zdrowia po-
szczególnych jednostek spo-
łeczności. Oto niedawno
odbył się proces grupy mal-
wersantów, którzy, działa-
jąc wspólnie, w ciągu 5
miesięcy okradli swój za-
kład pracy na sumę ok. 1,6
mln. zł. Już po „przymknię-
ciu” owych malwersantów
okazało się, że każdy z nich
jest poważnie chory. Jeden
cierpił na zapalenie ko-
rzonków nerwowych, drugi
na kamienie nerkowe, trze-
ciemu podchodziło ser-

ce do gardła, czwarty miał
„płatfus”, piąty cierpił na
szczękocisk, szósty na wyż-
szą lewą łopatkę itd. itd.
Sąd musiał z tego powodu
3 razy odraczać proces.

Przypomnijmy sobie tyl-
ko jak to było z Teofilem
Skokiem! Wszyscy dziwili
się, że taki spokojny czło-
wieka mógł pewnego wieczo-
ru wyrzucić swego sąsiada
przez okno z czwartego pię-
tra, zadawszy mu uprzednio
5 ran tłuczonych głowy przy
pomocy ujętej za korbę
maszynki do mięsa. Dopiero
na procesie wyszło na jaw,
że od dłuższego już czasu
Skok chorował na powiek-
szenie tarczycy.

Podobnie zresztą było z
tymi dwoma facetami, którzy
od kilku już lat parali się
przywłaszczaniem sobie cud-
zych rowerów. Ich proces
musiano odraczać dobre 5
razy, ponieważ jeden z nich
miał ciągły tik lewego ucha,
a drugi cierpił na wrodzo-
ną żyłaczność prawej nogi.

Takich przykładów, na
których oparłem swoją teo-
rię, mógłbym przytoczyć
jeszcze co najmniej 77.
Wszystkie one potwierdza-
ją niezbicie, że źródło przes-
tępczości stanowią różnego
rodzaju choroby lub doleg-
liwości. Na zakończenie mu-
szę dodać, że o żadnym sy-
mulantwie nie może tu
być mowy. Wszyscy ci
„chorzy” ludzie dostarczają
przecież sądowi autentycz-
nych zaświadczeń lekar-
skich, na których każde sło-
wo wyraża dokładnie i
obiektywnie stwierdzenie
tych czy innych objawów
chorobowych.

GAL.



Rys. W. Lipiński

CHARAKTEROLOG DOMOWY

Ben Davis, lekarz angiel-
ski poza godzinami swojej
praktyki zawodowej intere-
sował się wpływem pożywie-
nia na charakter człowieka.
Davis pisze w swojej roz-
prawce, że mężczyzna, który
w ciągu miesiąca będzie ży-
wił się wyłącznie wołowina,
stanie się bardziej energicz-
ny, odważny a nawet zuch-
wały.

lęg zapewnień Davica, „fleg-
matycznym, ociężałym i nie-
chętnym do wysiłku fizycz-
nego. Ludziom pracującym
umysłowo Davis zaleca jabl-
ka, kartofle natomiast wed-
ług opinii angielskiego le-
karza, pobudzają ludzi do le-
nistwa i zawzięci.

Wreszcie rada dla ludzi
starszych wiekiem. Jeżeli
chcecie do późnej starości za-
chować pamięć jedzcie du-
żo... musztardy.

Niestety, w swojej bro-
szurce Davis nie wspomina
o tym w jakim stopniu sam
wziął sobie do serca swoje
odkrycia. M.



Ten kto jeść będzie wy-
łącznie wieprzowinę, według
zapewnień p. Davisa wpad-
nie w przygnębiający nastrój.
Wyłączna konsumpcja ba-
raniny wprowadzi „konsu-
mentą” w melancholję.
Natomiast ci, którzy wy-
łącznie jedliby cielęcine utra-
cą całkowicie energię i od-
porność. Davis utrzymuje, że
większość mężów maltreto-
wanych przez żony... uwiel-
bia pieczoną cielęcine.

Kobiety, które pragną po-
sładać „poprawnie funkcyj-
jący umysł” oraz ładną cerę
powinny pić dużo mleka.

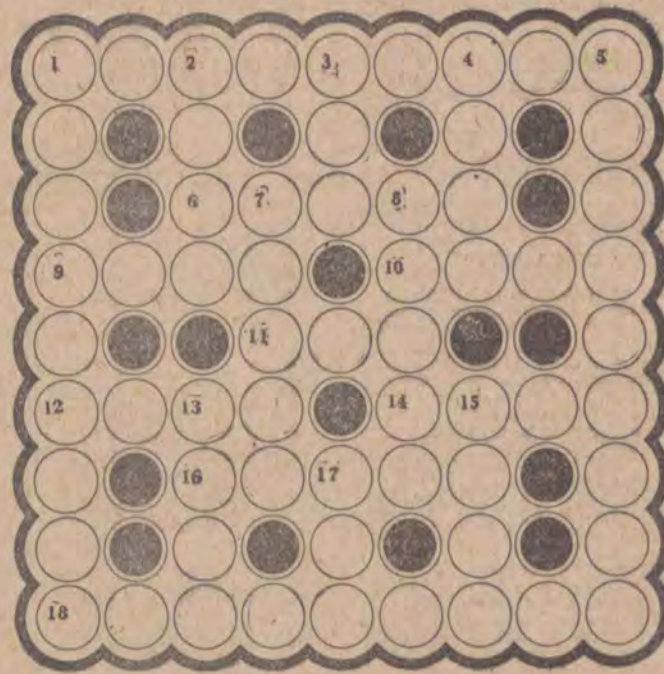
Natomiast nadużywanie
masła czyni człowieka, wed-

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Znaczenie wyrazów:

Pozłomci: 1) Antykwaryusz, uli-
cany sprzedawca książek, 5) Ru-
pieclarnia, 9) Sklep, 10) Rodzaj
chustki, podłużna tkanina wel-
niana lub jedwabna, 11) Część
sztuki teatralnej, 12) Motocyklo-
wy lub samochodowy, 14) Kra-
wędz, 16) Złomek, 18) Zona Per-
seusza, syna Zeusa.
Płonowo: 1) Płasz gondole-

rów weneckich, 2) Bryła lub pa-
cisk, 3) Jednostka wartości od-
żywiania (według systemu Pir-
quet'a), 4) Chrust, suche galzie,
5) Największe wychylenie wa-
hadła z położenia równowagi, 7)
Pisarz brazylijski, 8) Nadmorska
miejscowość wezrasowa, 13) Pier-
wiastek chemiczny, metal srebr-
zysty, 15) Trądzik, 17) Dolna
część beczki,



Figiel rebusowy



Rozwiązanie jednowyrazowe

KOMENTATOR DOSTOJNY

RATUNKU!

Dudniące potężnie trakto-
ry, to jedna z nowoczesnych
plag ulic naszego miasta.
Nadwężone bębniaki uszne
mieszkańców Łodzi ciągle
grożą pęknięciem przy dłuż-
szym przebywaniu w są-
siedztwie tych żelaznych
smoków. Na niektórych uli-
cach szczególnie w lecie,
gdy są otwarte okna, ludzie
nie mogą spać budzeni po-
tężnymi wstrząsami hałasują-
cych ciągników. Tandetnie
budowane domy starej Ło-
dzi początną gubić tynk od
nadmiernego huków. Panuje
przekonanie, że mniejszym
złem byłoby przywrócenie
prawa trąbienia na ulicach,
w zamian za wyeliminowanie
ciągników z ruchu ulicznego.
Podobno jednak łódzkiem
zakładom pracy o wiele le-
piej opłaca się posiadać cią-
gniki niż cichobieżne samo-
chody. Niektóre instytucje

pozbywają się samochodów
na rzecz ciągników. Łodzi
grozi zalew huków i hałasów.
Ratunku!..

MAŁA RZECZ A CIESZY

Z prawdziwą grozą prze-
czytaliśmy w dniu 14 bm. w
„Łódzkim Expressie Ilustro-
wanym” notatkę, pt. „Inter-
wencja pomogła”. „Express”
pisze:

„Interweniowaliśmy w
sprawie skarg Czytelników o
nie dość uprzejmym trakto-
waniu przez pracowników
punktu skupu ludzi, zgłaszających się z makula-
tura”.

Punkty skupu ludzi? Po-
wiadają niektórzy, że inter-
wencje prasowe są mało
skuteczne. Owszem ale nie
„Expressu”.

WIDOKI STAREJ ŁODZI



Reprodukcja litografii Walkie-
wicza z 1853 r. ukazuje nam klasy-
cystyczny budynek, postawiony
przy ruchliwej już wtedy ul. św.
Emilii (dziś 8 Marca). Dwupię-
trowy dom o czterospadowym da-
chu, klasycznym trójkacie w
szczytle — wygląda i dziś jeszcze
raczej na dworek szlachecki (ja-
kich pełno w dawnej Ziemi Łę-
czyckiej) niż gmach fabryczny.

Zakład ten urządzono z myślą
poparcia rozwoju przemysłu lina-
nego, który miał korzystać głównie
z surowca krajowego. Jak wiado-
mo, już w osadzie sukieniczej
Nowe Miasto (okolica placu Wol-
ności), powstałej nieco wcześniej
od tutejszej osady „Łódki”, prze-
mysł sukieniczy nie rozwinął się
z braku dobrego surowca, którego
na piaskach łódzkich i podłódzkich
nie można było hodować.

Obiekt ten uruchomił najpierw
Słazak Tytus Kopisch. I choć Ko-
pisch przyczynił się waleśnie do
powstania małej osady zwanej Słaz-
zaki, Bielnik raczej zaniedbał. Zo-
na Jego, Emilia, odstąpiła Bielnik
Jakubowi Petersowi, tego zaś z
kolei „wylicytował” — sam Schel-
bler.

Dwa ówczesne budynki bielni-
kowe mieściły: folusz i farbiarnię,
przez którą płynął kanał do plu-
kania towarów, pedzone były pra-
wie do końca XIX w. siłą koła
wodnego — nie wytrzymały jed-
nak konkurencji z maszynami pa-
rowymi Gejera.

W latach 50-tych ub. w. rządzi-
li tu bracia Petersowie. Historyk
ówczesny O. Flatt podaje, iż
„...Blich Jego (Petersa) zarzucony
jest płótnami ze wszystkich okolic
kraju. Fabryka ta zatrudnia 78
ludzi, a prócz płócien i bielny
stołowej, ze szczególnym biel-
nych wynagrodzeniem... wartość
produkowanych tu wyrobów prze-
chodziła 86 tys. rs” (w 1851 r.).

Ten prawdziwy zabytek łódzki
wymaga odpowiednio stałej troski,
zwłaszcza o remont proszą jego
wnętrza i stropy.

POLSKI FILM DOKUMENTALNY W NRF

Z okazji obchodu dni filmu
dokumentalnego w Oberhau-
sen (NRF) w roku bieżą-
cym po raz pierwszy wy-
świetlane będą polskie i
chińskie filmy dokumentalne
oraz poświęcone życiu kulta-
ralnemu tych narodów. Obok
wyżej wymienionych krajów
i gospodarzy udział w obchod-
zie wezmą USA, Francja,
Włochy, CSR, Jugosławia,
Belgia, Szwecja, Norwegia,
Dania i ZSRR, który obok
10 filmów dokumentalnych
zademonstruje specjalny film
o sputnikach pt. „Czerwoną
Księżyc”.

Jm

GRAŁ KWARTET BRUBECKA...



Dave Brubeck — król jazzu
(Rys. Ibis-Gratkowski)

str. 11 **odgłosy**

ZDZISŁAW KONICKI



MIESZANKA FILMOWA



EKRANIK

„CENA EWY”

So z słownictwa pięćdziesiąt złotych zasada „konik” za jeden bilet do kina „Wista” w dniu premiery filmu „Ewa chce spać”. — I tak jestem, panie, straszny — powiedział „konik” do niżej podpisanego — ostatni bilet sprzedaje, sam nie obejrzę dziś tego filmu...

Znowu cytata...

W „Ekraniku” z 1 i 2-ru „Od-głosów” cytowałem dwie o-pinie — Jean Renoira i Re-ne Claira — o dubbingowa-niu filmów. Teraz oddaje głos wielkiemu teoretykowi kina, Bell Balazsowi: — „Dziś jest już prawie niemożliwe zsyn-chronizowanie dialogów fil-mu dźwiękowego z innym językiem. Stało się to wsku-tek szybkiego rozwoju naszej kultury filmowej. Film dźwię-kowy nauczył nas widzieć i słyszeć głębokie powiązania mimiki i mowy... Wykształco-na, kulturalna publiczność na-tychmiast odczuje sprzeczność między francuską mimiką, a później dodanymi angielskimi słowami...”

Cybulski redivivus

Powrócił niedawno po kil-kumiesięcznym pobycie we Francji, opowiada chętnie i

ciekawie, widział dużo fil-mów. Najbardziej zaskoczyły go wysokie wartości społecz-ne najnowszej produkcji ame-rykańskiej. Za najwybitniej-szego aktora filmowego ostat-nich lat uważa Jamesa Deana. Ech, kiedyż my w Polsce zo-baczymy to bożyszcze ame-rykańskiej młodzieży?

Cybulski wraca również do filmu — grać będzie rolę Maeka Chełmickiego w ekr-anowej wersji „Popiołu i dia-mentu”. Film ten przygoto-wuje we wrocławskiej wy-twórni Andrzej Wajda. Za-nim jednak „Popiół i dia-ment” dotrze do kin, zobaczymy popularnego „Cyba” w „Osmym dniu tygodnia”, re-żyserii Aleksandra Forda.

Kaprysy Barbary

Tygodnik „Film” donosi: „Dodatkowy kłopot ma Ro-manis (kierownik produkcji) filmu „Pigułki dla Aurelii” — przyp. Depalda) — z Barba-rą Modelską, występującą w roli Lili... Kandydatka na gwiazdę lubi czasem pokapry-sić, a w robocie filmowej mu-si iść jak w zegarku...”

Statystyka personalna

Od zakończenia wojny do stycznia br. realizowało w Polsce samodzielnie filmy fa-bularne 33 reżyserów. W su-mie tej nie uwzględniam fil-

mów składankowych dyplo-mantów PWSF (np. „Trzy o-powiesci”, „Trzy starty”, „Koniec nocy” itp.).

Na czele listy znajduje się Jan Rybkowski, który nakre-cił 8 filmów, drugie miejsce zajmuje reżyser Buczkowski — 6 tytułów. Następnie — po 5 i 4 filmy mają na swym kon-cie Wanda Jakubowska, Je-rzy Kawalerowicz, Antoni Bohdziewicz, Aleksander Ford i Jerzy Zarzycki. W czołówce są więc wszyscy kierownicy zespołów filmowych, z wy-jątkiem Ludwika Starostego — scenarzysty.

Aż 21 realizatorów nakre-ciło po jednym filmie. W tej liczbie znajduje się jeden ob-cokrajowiec (Aldo Vergano, wspólnie z Tadeuszem Kan-skim — „Czarni żebry”) oraz dwóch reżyserów teatralnych — Erwin Axer i Bohdan Ko-rzeniewski. Debiutowało sa-modzielnie w pełnym metra-żu 10 absolwentów PWSF.

Nowy zespół

W pierwszych dniach marca akonstituował się nowy Ze-spół Autorów Filmowych, wy-stępujący pod mało pomysło-wą nazwą „Kamera”. Kie-rownictwo artystyczne objeli: Jerzy Bossak, ceniony reali-zator-dokumentalista oraz An-drzej Munk, który przeszedł do „Kamery” z Zespołu „Kadr”. Kierownikiem litera-ckim został Jerzy Stefan Sta-wiński, a szefem produkcji — Zygmunt Książkiewicz. Zespół „Kamera” nie ogło-sił jeszcze żadnych planów na rok bieżący.

Rekord

Amerykański film „Przemie-niło z wiatrem”, adaptacja słynnej powieści Margaret Mitchell — przyniósł od 1939 roku 69.000.000 dolarów czy-stego zysku. Czego (w zło-tówkach) życzymy polskim filmom.

DONALD



Rys. Lech Kunka

Podwójne życie Jean Gabin

Stary lew ekranu Jean Gabin liczy sobie 54 lata i ma poza sobą 28 lat kar-jery filmowej. Oto zbliża się niedziela Pan Gabin paluje małą walizkę i szycuje się do drogi. Da-leko pozostał Paryż. Przed nami mała miejscowość Orne koło Langie. Ostroż-nie skradamy się śladami wielkiego artysty. Ho! ho! Kto wie jakie tajem-nice tu odkryjemy. Po-myśleć co za sensacja! Podwójne życie Gabina. A fakt! Bo popularny na całym świecie aktor jest również znanym w Nor-mandii hodowcą bydła ro-gatego. Właśnie w Orne znajduje się jego farma hodowlana. Jej zarządca obowiązuje jest co wie-czór składać telefoniczny raport właścicielowi. A że pańskie oko woli tuczy — Gabin prawie co tydzień odwiedza swe gospodar-stwo. Dorzućmy na zakoń-czenie, że gra on teraz w nowym filmie Gilles Grangier — pt. „Chaos i nos”. (Le désordre nuit) wraz z piosenkarką mu-zyką Hazel Scott i ak-torką niemiecką Nadią Tiller. Jest to już rzekomo 70 film Gabina.

SKAT



LESLIE CARON

Felieton dla widowni

ZŁOTY KASK

Złoty Kask — dziewczyna ze złodziej-skiej szajki. Stary Paryż, dzielnica Bel-leville — dzielnica rzeźmieszków. Film Beckera, który wchodzi na nasze ekrany, oparty jest na dawnej legendzie, o bandzie złodziei i pięknej dziewczynie. Sama obecność złotowłosej Marii przynosi śmierć wszystkim, którzy ją kochają i których kocha.

Walka na noże, ukrywanie trupa za wysokim murem, knajpa, policja, wię-zienie, gilotyna — cała sceneria i kli-mat przejęty jak gdyby z powieści sta-rego Dumasa. Jest też oczywiście mi-łość.

Wydawać by się mogło, że film opar-ty na takich realiach będzie natwmy i tani. Ale „Złoty Kask” jest obrazem, w którym tytułową rolę odtworza nie znana dotąd naszej widowni — Simone Signoret. Oczywiście nie znana jako aktorka, gdyż wszyscy doskonale wie-dzą o tym, że jest żoną popularnego Yvesa Montanda.

Starannie nakreślone tło obyczajowe i uspaniała Simone — decydują w fil-mie Beckera o jego wysokiej randze. Obok Simone Signoret występuje w „Złotym Kasku” wzruszający w swo-jej prostocie Serge Reggiani (Manda), zjednujący sobie od pierwszej chwili sympatię widza. Podobnie sugestywną postać stworzył Claude Dauphin, jako szef bandy (Leca). Z tym oczywiście, że staje się on adresatem uczuć wręcz przeciwnych niż Manda...

Można tylko żałować, że ten świetny film oglądamy w wersji skazanej. Albo-wiem „Złoty Kask” został pozbawiony koloru. I — nie wiadomo dlaczego i po-

co, skopiowany na taśmie czarno-bia-łej. Oto jeszcze jeden pomysł z serii tych, które rodzą się tylko i wyłącznie u nas!

METODY



Scena z filmu „Złoty Kask”

Wyjątkowo krótki scenariusz pt.

Zbiegowisko

Pod ścianą siedział głuchoniemy. Przebierał szybko palcami po klawiaturze harmonii, która nie wydawała dźwięków.

Przestała grać przed pięcioma minutami. Ktoś w tłumie tłoczących się gapiów powie-dział: — Trzeba mu to jakoś wytłumaczyć. Nie-potrzebnie się męczy. Ktoś inny stwierdził: — Przecież to i tak obojętne dla nas. I dla niego.

Napisał — ANDRZEJ KOSTENKO
Eksował — JAN TYSZLER



TEATRZYK KINOFIKCJI

Rok 1
NR V

EDWARD ETLER

Z cyklu „Kariery filmowe”

ZENOBIA

Kiedy Zenobia przyszła na świat, to wcale jeszcze nie wiedziała, co ją tu czeka. Skończyła 5 klas Szkoły Powszechnej i nie nie zapowiadało powikłań.

Los oszczędził jej przykrości, związanych z posiadaniem urody (przez którą kobieta skazana jest na za-czepki gawiedzi). A więc Zenobia nie była ładna. Se-plenila za to, i miała nieznacznego zęza. Szczególnie w prawym oku. Ale i tak przyszło, co miało przyjść. Zenobia została zaangażowana do filmu! Nie na darmo mówi się przecież, że ktoś tam w górze trzyma w swo-



ich palcach nitki wszystkiego, co się na dole dzieje.

Miała wtedy trzynaście lat i bardzo przejęła się ro-lą, która jej została powierzona. Czas mijał. Kiedy nakre-cano dziesiąte ujęcie tego filmu — Zenobia miała już dwojaczki. Później, gdy film był już w połowie na-krecony, bliźnięta grały w nim role epizodyczne. Z czasem i one postarały się o potomstwo, które teraz zajęte jest przy podkładaniu dźwięku do tego samego filmu (kwilenie niemowląt). Bo trzeba tu dodać, że ów obraz jest właśnie prawie na ukończeniu. Wpraw-dzie w międzyczasie amant, grający apsztyfikanta Ze-nobii stał się na początku zgrzybiałym staruszkiem, a potem zupełnie umarł, ale kto by na takie drobiaz-gi zwracał u nas uwagę?

Zenobia wszystko przetrzyma. Już nawet nowy film w identycznych warunkach kręci. Jej specjalność — sceny erotyczne, westchnienia miłosne i czule spoj-rzenia w prawo. Uniwersalna babcia.